Dużo roboty z tym papieżem



Bolesław Taborski, fot. arch. rodzinne.

Florian Śmieja

Od momentu sensacyjnego wyboru ks. arcybp. Karola Wojtyły na tron Piotrowy, nie brakowało dziennikarzy, ani pisarzy żądnych nie tylko dostarczania poczytnych tekstów na temat nagle gorący, ale chcących też dowartościować się przez zajmowanie się jego osobą i obcowaniem z niezwykłym człowiekiem na świeczniku. Ale obok szukających anegdot i ciekawostek byli też ludzie poruszeni tą świetlistą postacią, którzy w niej odkryli wzorzec i cel i jej pragnęli służyć. Do nich, sądzę, należy **Bolesław Taborski**, autor książki "Wprost w moje serce uderza droga wszystkich", pięknego hołdu dla życia ciężko chorego już wtedy papieża.

Dwaj emigracyjni pisarze londyńscy położyli szczególne zasługi, by literackie dzieło Jana Pawła II godnie zaprezentować czytelnikowi anglosaskiemu: Jerzy Pietrkiewicz i Bolesław Taborski. Pierwszy, zapewnił sobie wyłączne prawa do przekładania papieskiej poezji na język angielski, drugi, zajął się głównie teatrem.

Pietrkiewicz, wyróżniony honorowym doktoratem swojej uczelni, uniwersytetu w St. Andrews w Szkocji, był uznanym wykładowcą języka i literatury polskiej na Uniwersytecie Londyńskim, polskim poetą i autorem kilku angielskich powieści, drugi – pracownikiem Polskiej Sekcji BBC, debiutującym poetą polskim i tłumaczem Grahama Greene'a i Roberta Gravesa.

Urodzony w 1927 roku w Toruniu Taborski wziął udział w Powstaniu Warszawskim, a wyzwolony z niemieckiego obozu jenieckiego w Sandbostel w Lubece ukończył polskie liceum. Studia teatrologiczne podjął na angielskim uniwersytecie w Bristolu (1947-1952). Poznałem go, kiedy się zaraz potem przeniósł do Londynu i wnet stał się dynamicznym współredaktorem pism młodych "Merkuriusza Polskiego" i "Kontynentów" (1955-1962). Z czasem został najbardziej płodnym poetą i tłumaczem spośród nas. Był człowiekiem zawsze skromnym, szczodrym i nadzwyczaj uczynnym. Jak nikt inny dbał o interesy kolegów korzystając z nawiązanych w Polsce kontaktów. I to mimo ogromu prac własnych, głównie przekładów, że wymienię tylko Kotta, Przybyszewską czy Grotowskiego i 21 sztuk teatralnych Pintera.



Bolesław Taborski (drugi z lewej) podczas pracy w radio BBC, fot. arch. rodzinne.

Kiedy po polskim Październiku wielu młodych Polaków w dobrej wierze paliło się do akcji, Taborski w ferworze nie pojmowanych do końca sytuacji dawał się ponosić retoryce i zapałowi wrażliwego serca, zapędzał się w krytyce politycznej emigracji i naiwnych akceptacjach reżymowej propagandy, stał się *bete noir* emigracyjnych działaczy. Zraził sobie wśród innych Jana Nowaka Jeziorańskiego, który miał nawet apelować do władz BBC, aby zwolniły go z pracy, czego Anglicy, na szczęście, nie zrobili, uznali jego gestie za nieszkodliwe, a Taborski przepracował w radiu 34 lata i doczekał emerytury.

> Jak wiesz, mam ciężką, nerwową i czasochłonną (jednak bite

> 8 godzin dziennie nie licząc dojazdów) pracę w radiu, a wszystkie zajęcia literackie muszę wykonywać w czasie wolnym

pisał w jednym z dawnych listów. A w innym się skarżył:

> Trzeba się zatopić w pracy, bo jak się za dużo myśli o polskiej sytuacji, to rozpacz człowieka bierze.

W innym jeszcze miejscu wyznał:

> …Wiem chyba najlepiej, że motywami moich działań w tym czasie nie był żal, o to co było w przeszłości, ale troska patriotycznie nastawionego Polaka o przyszłość kraju.

W dużej mierze za artykuły Taborskiego odebrano nam redakcję "Merkuriusza Polskiego", choć do tego trzeba było nawet ingerencji gen. Władysława Andersa. Obawiano się dywersji i niepożądanych kontaktów z PRL-em. Czas robił swoje. Ambiwalentne sygnały ostatecznie straciły wagę, a zakotwiczenie się Taborskiego w obozie Papieskim stało się najpiękniejszym *happy endem* i zwieńczeniem długiej peregrynacji niespokojnego ducha.

> Dokładne zgłębienie życiorysu i twórczości Karola Wojtyły było dla mnie olśnieniem i spowodowało – nie wstydzę się tego wyznać – przełom duchowy.

Tak pisał w swojej biograficznej książce Taborski.



Bolesław Taborski w swoim gabinecie, fot. arch. rodzinne.

A zaczęło się wiele lat wcześniej. W Londynie Taborski sumiennie prowadził pamiętnik, w którym skrupulatnie notował minucje dnia. Kiedy po latach trzeba było ustalić jakąś datę czy

szczegół z życia kulturalnego wojennej emigracji, jego zapiski stały się wiarygodnym, bogatym źródłem wiedzy.

Był on równocześnie jednym z pierwszych młodych emigrantów, którzy odważyli się jeździć do Polski poststalinowskiej narażając się na przykre pomówienia i niesmaczne epitety współemigrantów, choć na szczęście uniknął zaszeregowania go przez SB do swoich współpracowników.

On to pod datą 7 grudnia 1958 roku bawiąc w Krakowie zanotował:

> Po południu przedstawiono mnie mianowanemu niedawno pomocniczemu biskupowi krakowskiemu Karolowi Wojtyle. Elegancki, młody, ma bardzo miły uśmiech. Towarzyszy zjazdowi cały czas, jest przyjacielem „Tygodnika".
>
> Znajomi mówią mi: to bardzo ciekawy człowiek, aktorem był, poetą jest, ba – robotnikiem był, bardzo inteligentny, daleko zajdzie.

Tak zaczęła się fascynacja człowiekiem, który przez bez mała pół wieku związał wyobraźnię Taborskiego. Skoro Pietrkiewicz otrzymał prawa tłumaczenia poezji na angielski, Taborskiemu zaproponowano przekładanie dramatów. Zgodził się, choć

rozumiał, że znano tylko jeden dramat opublikowany: “Przed sklepem jubilera”. Rozpoczęły się usilne poszukiwania rękopisów i maszynopisów po mieszkaniach dawnych przyjaciół papieża. Wespół z wydawnictwem “Znak” udało się zebrać inne teksty. Tylko dramatu “Dawid” nie zdołano dotąd odnaleźć ani przekładu “Edypa” Sofoklesa, którego dokonał Karol Wojtyła dla Juliusza Osterwy.



Kadr z filmu dokumentalnego o Bolesławie Taborskim „Ułamek istnienia” zrealizowanego przez córkę, Annę Taborską.

Taborski zebrał więc, skomentował i przełożył na język angielski

“Hioba”, “Jeremiasza”, Brata naszego Boga”. “Przed sklepem jubilera” oraz “Promieniowanie ojcostwa”. Wydał je w jednym tomie Uniwersytet Kalifornijski w 1987 roku, publikował ponadto pojedyncze sztuki. Rozprawa “Karola Wojtyły dramaturgia wnętrza” wyszła w Lublinie w 1989 roku. Taborski jest ponadto autorem wstępów, przypisów i artykułów naukowych na temat teatru papieża.

Natomiast jego książka “Wprost w moje serce uderza droga wszystkich” z podtytułem “O Karolu Wojtyle – Janie Pawle II – szkice, wspomnienia, wiersze” określa relację osobistą z duchowej wędrówki za wspaniałym i wielkim człowiekiem naszych czasów.

Książka ma cztery części. W pierwszej Taborski komentuje poezję, którą wcześniej objaśniał w radiu przybliżając czytelnikowi te nieproste wiersze dzięki swojej wrażliwości poetyckiej. Traktuje o piętnastu poematach pod nagłówkami “Chrześcijańskie inspiracje” czy “Nauki Polskich Dziejów” albo “Poetyckie medytacje”.

Przytacza też ważne słowa Papieża:

> Inspiracja chrześcijańska nie przestaje być głównym źródłem twórczości polskich artystów. Kultura polska stale płynie

> szerokim nurtem natchnień, mających swe źródło w Ewangelii.

Jakże one kontrastują z arogancją kolegi z londyńskich czasów chcącego uchodzić za naszego guru, który mnie kiedyś karcił za echa ewangeliczne w moich wierszach mówiąc, że to starocie, że dawniej ludzie chodzili do kościoła więc słyszeli Pismo św. Ale dziś?

Kolejna część książki „Dramaturgia wnętrza” zajmuje się teatrem Karola Wojtyły i rozpatruje szerzej poszczególne sztuki.



Kadr z filmu dokumentalnego o Bolesławie Taborskim „Ułamek istnienia” zrealizowanego przez córkę, Annę Taborską.

Trzecia część relacjonuje spotkania z Papieżem od 1958-1997 roku. Spośród anegdot zapamiętałem odezwanie się Papieża do skonfudowanego Bolka wręczającego mu w Rzymie w deszczową pogodę swój przekład Jego sztuki:

> Ale pan ma teraz dużo roboty z tym papieżem.

Wreszcie końcowa partia przynosi wiersze Taborskiego napisane dla Ojca św., bibliografię, indeks osobowy. Tom zdobią rzadkie fotografie.

Autor opowiadał mi w Warszawie, że książka była gotowa przed śmiercią papieża i że On ją jeszcze zobaczył i przesłał mu Swoje błogosławieństwo. Teraz my możemy skorzystać z obfitego kompendium przemyśleń i objaśnień pilnego alumna, napisanych kompetentnie i ciepło.

_____

Bolesław Taborski, Wprost w moje serce uderza droga wszystkich. O Karolu Wojtyle Janie Pawle II szkice, wspomnienia, wiersze. Adam Marszałek, Toruń 2005, str. 402

Film dokumentalny o Bolesławie Taborskim „Ułamek istnienia” zrealizowany przez córkę, Annę Taborską:

Wspominając wybitnego redaktora



Florian Śmieja z Anną Heydenkorn. Na stole fotografia Benedykta Heydenkorna, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

Z odejściem 10 października 1999 roku redaktora Benedykta Heydenkorna, zmalał poczet znakomitych działaczy emigracji żołnierskiej, tak bardzo zasłużonej.

Urodzony w 1906 roku w Starej Birczy koło Przemyśla, mieszkał we Lwowie i w Warszawie. Był jednym z najmłodszych obrońców Lwowa. Po ukończeniu gimnazjum był wolnym słuchaczem na Uniwersytecie Warszawskim, ale jeszcze jako student rozpoczął działalność dziennikarską współpracując z szeregiem pism od „Dziennika Lwowskiego" począwszy po „Epokę" i „Głos Prawdy" redagowany przez Juliusza Kadena-Bandrowskiego. Pisał też do „Buntu Młodych", „Kroniki Polski i Świata" oraz „Drogi". Następnie związał się z warszawskim biurem dziennika „Berliner Tageblatt", a przed wybuchem wojny pracował dla francuskiej agencji prasowej Havas.

Dopiero 17 września opuścił Warszawę i kierując się na południowy wschód wpadł w ręce NKWD. Przesłuchiwany wpierw w więzieniach na ziemiach polskich, deportowany został do obozów w Woroneżu, a następnie w Dniepropietrowsku. Wyszedł na wolność po układzie Sikorski-Stalin i dotarł do Tatiszczewa do formującej się tam Armii Polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Razem z nią wędrował przez Iran, Irak i Palestynę do Włoch. We Florencji w 1944 roku mianowany został zastępcą redaktora „Dziennika Żołnierza", a potem jego naczelnym redaktorem, aż do likwidacji w 1946 roku. Po zakończeniu działań wojennych demobilizował się w Anglii, a w 1949 roku przyjechał do Kanady. W Anglii pracował w „Słowie Polskim", a następnie w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza".

W Kanadzie zaczął od pracy fizycznej. Z czasem stał się kancelistą w biurze Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Hamilton. Tymczasem ośrodki polonijne w prowincjach preryjnych zaczęły tracić prymat na rzecz Quebec i Ontario, bo tam głównie osiedliła się fala wojennej emigracji. W Toronto ukazywał się tygodnik „Związkowiec". Tam też zaczął wychodzić „Głos Polski". Jego redaktor, Stanisław Zybała dowiedział się o Heydenkornie, którego mu polecił na prośbę gen. Władysława Andersa prezes Zrzeszenia Kombatantów Polskich w Kanadzie. Zatrudniono Bumka (bo tak go nazywali najbliżsi) kiedy znalazł się wakans. W tym piśmie przepracował pięć lat i w roku 1957 przeszedł do „Związkowca" redagowanego przez Franciszka Głogowskiego. We wrześniu 1964 objął stanowisko redaktora naczelnego. W odróżnieniu od pro-londyńskiego „Głosu Polskiego", „Związkowiec" miał tradycję pisma liberalnego, świeckiego, trybuny emigracji robotniczo-chłopskiej, która uważała się za obywateli Kanady o polskim rodowodzie i sentymentach, lecz pragnęła być niezależna od politycznych dyrektyw zarówno starego kraju, jak też polskich władz emigracyjnych. Polonia ta angażowała się po stronie kanadyjskiej wchodząc w jej struktury gospodarcze, społeczne i polityczne.

Będąc zawodowym dziennikarzem doświadczenie swoje wprzągł w pracę nad „Związkowcem", popularyzując akcje społeczne, jak np. zbiórka pod hasłem „Chleb dla Polski", czy też angażując się poważnie w sprawę odesłania skarbów wawelskich do Polski.

(Choć w artykule ambasadora Rzeczpospolitej Polskiej, prof. B. Grzelońskiego na ten temat, padło wiele nazwisk, nie znalazłem wśród nich nazwiska Heydenkorna). Utrzymał formę półtygodnika i wygospodarował niewielkie honoraria, aby przyciągnąć do pisma znaczniejsze pióra. I tak pozyskał m.in. Adama Ciołkosza, Andrzeja Chciuka, Marię Kuncewiczową, Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Józefa Mackiewicza, Danutę Mostwin, Tadeusza Nowakowskiego i Wacława Zagórskiego. W terenie wyszukał korespondentów, z Polski zdobywał nie cenzurowane raporty, wprowadził nowe działy, wydawał numery specjalne. Niektóre z nich liczyły do 80 stron „Związkowiec" pod jego redakcją stał się najbardziej poczytnym i największym polskojęzycznym pismem w Kanadzie. Jego nakład osiągnął 12,500 egz. i pismo miało wielu oddanych prenumeratorów. Czytano je również poza Kanadą.

Dobierając sobie współpracowników Heydenkorn utrzymywał z nimi bliski kontakt, a wizyta w redakcji zawsze była przyjemnością. Atrakcję stanowiła skromność i bezinteresowność redaktora. Nie wynosił się, nie należał do żadnego ugrupowania. Jan Kowalik ocenił, że Heydenkorn

> ...zostawił ustabilizowane pismo polonijne na dobrym poziomie, zrównoważone, tolerancyjne, pro-kanadyjskie, ale zarazem otwarte na Świat, a przede wszystkim na Polskę.

Nie było jednak jego odejście bezzasadne. W liście do mnie Heydenkorn powiedział:

> …Nie chciałem dłużej robić „Związkowca” z wielu względów, ale chyba zdecydowało stwierdzenie, iż nie mam partnerów do przeprowadzenia zasadniczych spraw, a sytuacja jest krytyczna. Nie obawiam się, ale jestem głęboko przekonany, iż nie tylko „Związkowiec” będzie spadał, ale Związek Polaków w Kanadzie, jak również inne organizacje. Trzeba bowiem prawdziwej reformy, poważnych zmian, a brak do tego odpowiedzialnych ludzi.

Upomniał się o Heydenkorna po jego przejściu na emeryturę Franciszek Głogowski. Apelował, by „… w jakiejś formie wyrazić uznanie i wdzięczność za tytaniczną wprost pracę…”. Sugerował, by „Związkowiec” stał się inicjatorem takiej imprezy skoro przez bez mała dwadzieścia lat był jego redaktorem. Jednak stopniowa degrengolada pisma, inni ludzie i odmienne cele sprawiły, że myśli jego nie podjęto.

Heydenkorn współpracował również z innymi pismami m.in. z londyńskim „Dziennikiem Polskim” i paryską „Kulturą”. Kiedy zaczął odwiedzać Polskę i pisać korespondencje korygujące stereotypy panujące w emigracyjnej prasie, naraził się ludziom o innych poglądach. Znawcy natomiast, np. jeden z czołowych

przedwojennych dziennikarzy W. Giełżyński, podnosili wysoko walory tych artykułów z 1958 roku, kiedy łatwo było przeholować w jedną albo drugą stronę. Heydenkorn potrafił być bardzo sprawiedliwy i doceniali to ludzie tacy jak M. Krąpiec, M. Kula, S. Kisielewski czy J. Turowicz.

Odszedłszy na emeryturę w 1977 roku, Heydenkorn pracował jako wolontariusz w *Multicultural History Society* of Ontario. Praca tego rodzaju nie była mu nowością wszak już w Polsko-Kanadyjskim Instytucie Badawczym, którego był jednym z założycieli, a potem długoletnim zastępcą dyrektora, ani W. Turek, ani T. Krychowski, R. Kogler ani B. Heydenkorn za swoją pracę grosza nie brali. Byli po prostu społecznikami starej daty i dzięki takim ludziom tyle można było dokonać mimo ustawicznego braku finansowego wsparcia. We współpracy z *History Society* ukazały się cztery książki „polskie", a periodyk „Polyphony" regularnie przynosił teksty o tematyce polskiej. W uznaniu zasług nadano Heydenkornowi tytuł członka honorowego oraz ustanowiono stypendium jego imienia dla młodych badaczy problemów etnicznych w Kanadzie.



Benedykt Heydenkorn i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. z rozdziału p.t. „O Polonii Kanadyjskiej z Benedyktem Heydenkornem”, [W:] Aleksandra Ziółkowska, Korzenie są polskie, Warszawa 1992.



Benedykt Heydenkorn i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. z rozdziału p.t. „O Polonii Kanadyjskiej z Benedyktem Heydenkornem”, [W:] Aleksandra Ziółkowska, Korzenie są polskie, Warszawa 1992.

Już przed wojną Heydenkorn miał zacięcie socjologa. Zadebiutował rozprawą „Proletaryzacja inteligencji zawodowej w Polsce". W Kanadzie jako dziennikarz i współzałożyciel Instytutu Badań wziął się do pracy nad kanadyjską Polonią. Poświęcił jej wiele artykułów i szkiców. Napisał także, wprowadził i zredagował dwadzieścia różnych tomów prac w języku polskim, angielskim i francuskim. Zabłysnął talentem wydając monografię „Poles in Manitoba" pozostawioną przez Wiktora Turka w manuskrypcie. Wymagała ona mozolnego przepracowania i skrótów. Podobnego zachodu potrzebowała angielska wersja „Tworzywa" Melchiora Wańkowicza. Także niedokończona antologia Danuty Bieńkowskiej „Meeting Polish Writers" doznała edytorskiej pieczy Heydenkorna. Posypały się kolejne tomy rozpraw i materiałów dokumentarnych o kanadyjskiej Polonii inspirowane i wspomagane przez niego. Traktowały one o szkolnictwie polonijnym, o prasie, o organizacjach społecznych, o literaturze emigrantów, o osadnictwie chłopów, o roli kobiety na emigracji, o polskim środowisku w Toronto. Jedna z tych publikacji to „Poles in Toronto" – analiza ankiety przeprowadzonej przez Ewę Morawską i Rudolfa Koglera.

Opisanie Polaków w Toronto leżało Heydenkornowi na sercu. W rozmowach swoich nawracał często do tego tematu i zachęcał, jak mógł do pisania przyczynków wszelkiego rodzaju, by ułatwić pracę przyszłym badaczom kanadyjskiej Polonii. Zredagowany przez niego numer specjalny półrocznika „Polyphony"

poświęcony Polakom w Ontario jest pozycją ciągle jeszcze ważną. Wespół z Henrykiem Radeckim opracował wzorowo historię całej grupy polskiej w Kanadzie w monografii „A Member of A Distinguished Family: The Polish Group in Canada" (1976). Ukazała się ona po angielsku i po francusku w serii wydawnictw Ministerstwa Wielokulturowości. Heydenkorn jest ponadto autorem polskich haseł w „The Canadian Encyclopaedia".

On też zaczął i przeprowadził konkursy na pamiętnik i wydał cztery tomy pamiętników emigrantów w języku polskim i jeden w języku angielskim. Te, które nie zostały wybrane do druku, przekazane zostały do archiwów kanadyjskich. Stanowią one nie tylko wzbogacenie naszej wiedzy o emigracji, ale ponadto stanowią fascynującą lekturę i świadectwo naszej w tym kraju obecności.

Heydenkorn połączył historię Polonii sprzed pierwszej wojny światowej z kolejnymi falami imigrantów, ukazał jej aktywność, dojrzałość aspiracji organizacji polonijnych oraz szeroki wachlarz ich zainteresowań i kompetencji. Zastawszy Polonię zróżnicowaną, ale raczej mało widoczną, jeśli nie wręcz anonimową, zostawił ją zbadaną, opisaną i przedstawioną w oficjalnych językach Kanady.

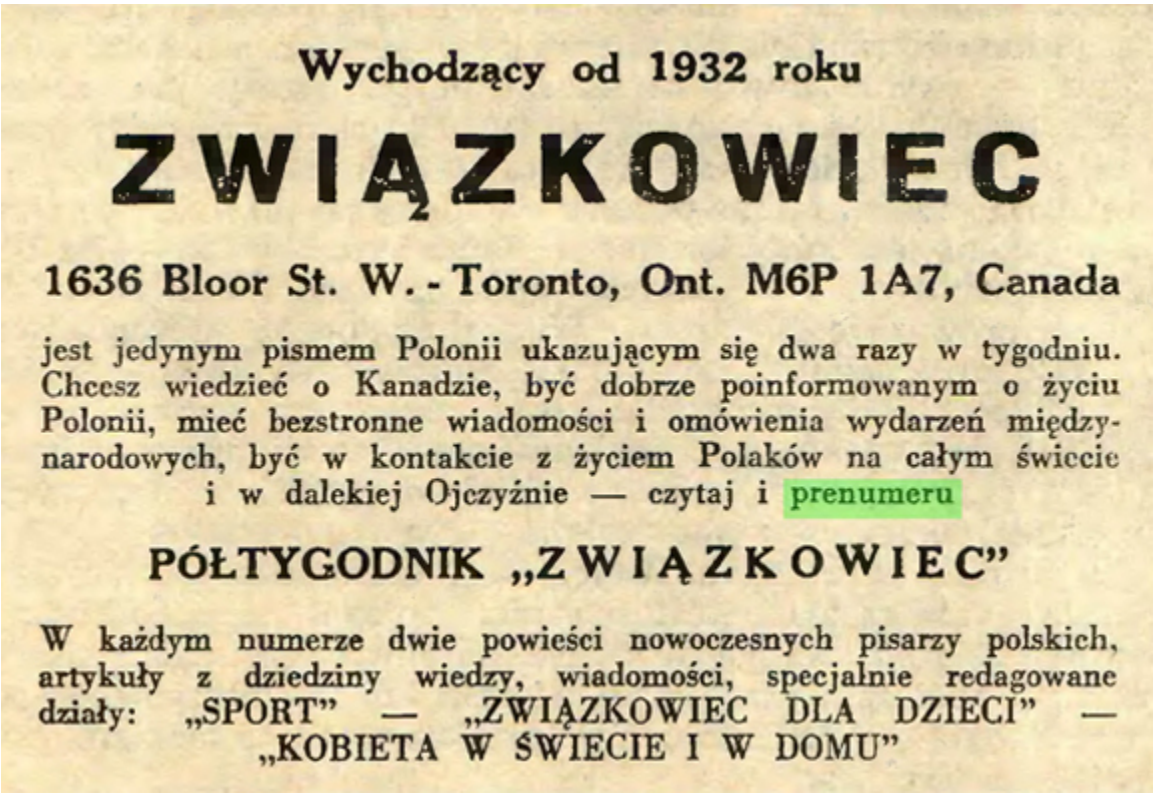
Był osobą bardzo prywatną. Nie lubił udzielać wywiadów.

Tłumaczył mi:

> …Nie mam „melodii” do wywiadów, nigdy nie miałem i dlatego z zasady nie udzielam. Nie umiem też mówić o sobie, bardzo nawet nie lubię. Nie odpowiadam na ankiety, kwestionariusze itp. (….) Myślę iż są sprawy, przeżycia, myśli, które winny pozostać tylko i wyłącznie u jednostki. Są osobistą tajemnicą i bynajmniej to nie muszą być zagadnienia ważne, bardzo istotne – oczywiście te również – ale jakieś specjalnie intymne.

Zachęcali go przyjaciele do napisania pamiętnika. Nie chciał. Dowodził, że pisać mogą jedynie ludzie posiadający dokładne notatki, bo inaczej wszystko się pomiesza i wyjdą bajki.

Heydenkorn dużo pisał, często swoich tekstów nie sygnował, nie zbierał odbitek swoich prac. Kiedy poszedł na emeryturę, nie mógł wracać do dawnych artykułów i nie podejmował prób, by je zrekonstruować. Szkoda to wielka i on sam niekiedy bolał nad tym, wiedząc, że wiele jego pisania przepadło bezpowrotnie. Bo nawet do recenzji robił sobie skrupulatnie notatki, a rzadko tylko ograniczał się do jednej tylko lektury omawianej książki. Żałował m.in. tego, że nie dokończył monografii „Gazety Katolickiej”, której spory drukowany fragment stanowi doskonale udokumentowane studium przedmiotu.



Nie pisał wierszy, ale poezję lubił i bardzo poważał. Miał swoje predylekcje. Ze współczesnych najbardziej cenił Zbigniewa Herberta podnosząc wewnętrzną siłę jego poezji. Nie odpowiadał mu Przyboś. Na ogół nie podobała mu się najnowsza twórczość poetycka. Kręcił głową nad utworami drukowanym przez paryską „Kulturę". Te wiersze wydawały mu się okropne, nie na poziomie. „Po co pisane, dla kogo pisane i co one mają reprezentować" – pytał retorycznie. Był pod urokiem Kasprowicza i Staffa. O Norwidzie mówił, że to poeta, który ma wiersze piękne i takie jakby w sobie złamane, ze skazą, niewydarzone, szlachetne eksperymenty, które nie wyszły. Niemniej był w Norwidzie zakochany za jego absolutny indywidualizm, niezależność i samotność. Łobodowskiego poważał jedynie jako poetę. Jego zdaniem:

> Problematykę ukraińską, stosunki polsko-ukraińskie omawiał namiętnie, z pasją. Nieraz miłość i obrona Ukrainy nasycona była niesprawiedliwością wobec Polski w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Niepokaźnego wzrostu był człowiekiem nietuzinkowego formatu, dziennikarzem z charakterem. Bystry, niezwykle oczytany, obdarzony doskonałą pamięcią, był odważny choć właściwie miękki i łagodny. Nie znosił bufonów i szarlatanów, których na emigracji nigdy nie brakowało. Będąc profesjonalistą nie pozwalał dyrekcjom prasowym sobą pomiatać, zdobywając prestiż i rozgłos. Był ozdobą swojego zawodu, który za jego czasów liche dawał wynagrodzenie. Za to cieszył się wdzięcznością i respektem ludzi, którzy z całym zaufaniem zwracali się do redaktora w najrozmaitszych sprawach, jako do człowieka z wpływem i autorytetem. Był twardym orzechem do zgryzienia przez swoją niezależność, skromność, pracowitość, sumienność i lojalność. To był człowiek nie do kupienia.

Nie znosząc fuszerki, bylejakości i łatwizny cenił wysoko bezinteresownych społeczników i sumiennych fachowców. Za takiego uważał Rudolfa Koglera, rzetelnego statystyka sprzeciwiającego się z chybionego patriotyzmu zawyżanym liczbom Polaków w Kanadzie, a także kwestionującego zasadność uważania za Polaków emigrantów w trzecim pokoleniu.

Powtarzał, że nie chciejstwo, ale rzeczywistość tylko się liczy. Podzielał też pogląd Koglera, by Polacy osiedleni w Kanadzie nie mieszali się do spraw politycznych w Polsce, by nie ingerowali w sytuacje, w których żyć nie muszą i żadnych konsekwencji swoich czynów nie ponoszą. O Zybale napisał, że cechuje go:

> ogromne poczucie humoru i pozbawiony jest nadętej koturnowej powagi; błyskotliwy, mistrzowsko operuje docinkami w dyskusjach; trzeźwy w ocenach nie daje się unieść efekciarskim pozorom, ale stara się dotrzeć do sedna rzeczy…

Bolał nad wczesną śmiercią świetnie zapowiadającego się Tadeusza Glisty.

Będąc osobą suwerenną, nie pozwalał by nim rozporządzano. napaści i nagonki przyjmował z godnością doświadczonego człowieka: najczęściej wcale na nie nie odpowiadał. Kiedy ja również stałem się obiektem insynuacji, pocieszał mnie, bym jako społecznik niczego innego nie oczekiwał:

> …jak kamieni, kubłów obrzydliwości itp. Swoje jednak trzeba robić. Całe życie byłem bity i kopany, ale nie potrafili mnie ani zgnoić ani zgnębić. Byłem i zostałem nonkonformistą.

> Miałem najsilniejsze oparcie w żonie.

Przeszło pięćdziesięcioletnie pożycie małżeńskie z poznaną w wojsku panią Anną dało Bumkowi podstawy materialne i psychiczne, na których mógł rozwinąć swoje talenty dziennikarskie i społeczno-kulturalne. Żona stworzyła mu skromny, ale komfortowy i śliczny dom pełen obrazów i rzeźb emigracyjnych artystów, dom, który chętnie odwiedzali przyjaciele z bliska i daleka łącznie z całą generalicją „Tygodnika Powszechnego" i KUL-u, W bogatej bibliotece znaleźć było można tomy dedykowane mu przez wybitnych pisarzy. Ze ścian spoglądała stanowcza twarz ukochanego Komendanta. Może to była nie tylko dekoracja.

Heydenkorn nigdy nie posiadał samochodu ani konta bankowego. Na mój entuzjastyczny list na temat kanadyjskiej przyrody odpowiedział jednoznacznie:

> ...Nie wybieram się do lasu ani nad jezioro. Nie znoszę komarów, nie uprawiam żadnych sportów. Kocham muzykę, lubię dobre koniaki, piękne kobiety, wesołe dzieci, rozmowy z miłymi ludźmi. Bardzo konserwatywne i staroświeckie zamiłowania, prawda? No, trudno, już chyba nie zmienię się.

Do końca interesował się prasą polonijną. Czytał i komentował ją. Oglądając niezrozumiałe meandry „Związkowca” zauważał jego brak stateczności, ustawiczne zmiany redaktorów. Mawiał, że każdy numer pisma był odmienny. Wiedział z doświadczenia, że gazeta jest czymś nietrwałym, dziś ją się czyta, jutro wyrzuca. Nie rozumiał drukowania ogromnych artykułów, czy artykułów w częściach. Twierdził, że wszystko musi mieścić się w tym samym numerze. Nie widział sensu drukowania powieści w odcinkach dziś, kiedy łatwo jest zdobyć książkę i ludzie już nie wycinają, jak dawniej poszczególnych odcinków. Dziwił się drukowaniu tasiemcowych listów do redakcji, ganił używanie ordynarnego języka w prasie. Mawiał, że to dziedzictwo komunistów, którzy dziś poszli w podziemie, ale ich chamstwo pozostało na wierzchu. W piśmie szukał artykułu wstępnego, chciał wiedzieć, czy redaktor jest za czymś czy przeciwko czemuś. Nie poważał ludzi bez twarzy, manipulantów i cwaniaków. Śmiał się z buńczucznych zapowiedzi neofitów na nowym terenie i ich bombastycznych roszczeń i prognoz, kiedy rzeczywistość obnażała ich ignorancję oraz brak autorytetu i poparcia. Te wieczne mrzonki.



Toronto na starej pocztówce.

Dobrodusznie kiwał głową nad hałaśliwą autoreklamą wątpliwych emigracyjnych notabli o naciąganych życiorysach i przemilczanych potknięciach życiowych, ludzi, którzy z palca wyssali tytuły i pozycje, bajali o niesprawdzalnych zasługach, byłych aparatczykach ośmieszających się w chorobliwych pragnieniach, by zaimponować naiwnym. Nie znosił karierowiczów, niepokrycia, zwykłego oszustwa. Popierał dobrą robotę, bez końca inspirował i doradzał, podsuwał materiały. Imponowali mu ludzie czynu osiągający cel bez rozgłosu, ofiarni, nacechowani młodzieńczym optymizmem. Do nich m.in. zaliczał ks. St. Puchniaka, ks. J.Smitha, inż. Z. Przygodę, inż. W. Krajewskiego.

Heydenkorn nie był łasy na pieniądze, a jeszcze mniej na zaszczyty. Z zażenowaniem przyznał, że otrzymał Złotą Odznakę Kongresu Polonii Kanadyjskiej i order Polonia Restituta od ostatniego prezydenta Rządu Polskiego na wychodźtwie. Robił swoje. Redaktor paryskiej „Kultury”, który pamięta Zmarłego jeszcze sprzed wojny w swoim wspomnieniu nazwał go świetnym dziennikarzem,

> …który był jednocześnie naukowcem, działaczem społecznym i bardzo dobrym człowiekiem.

Literackie zaułki pamięci

Z prof. Florianem Śmieją o wspomnieniach na temat przedstawicieli literatury emigracyjnej zebranych w książce „Zbliżenia i kontakty” – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Florian Śmieja wraz z żoną Zofią z Poniatowskich, fot. arch. rodzinne.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Często wracam do Pana książki, przepięknie wydanej przez Bibliotekę Śląską w Katowicach, „Zbliżenia i kontakty”. Ten zbiór szkiców napisany lekkim, barwnym językiem, przywołuje bardziej lub mniej znaczące postaci polskiej literatury emigracyjnej. Gdy zagłębiam się w ten literacki zbiór wspomnień, mam wrażenie, że uczestniczę w spacerze w przeszłość, odtwarzającym to, co spotkani ludzie zostawili po sobie w Pana pamięci. O istnieniu wielu osób dowiedziałam się dopiero z kart Pana książki. Czy Pana zamierzeniem było, aby powstał taki właśnie zbiór literackich pamiątek z powojennego Londynu?

FŚ: Nicią wiążącą tego zbioru w istocie są osoby, które spotkałem w Londynie. Ludziom, z którymi byłem dłużej, do których się zbliżyłem, poświęciłem więcej miejsca. Kontakty z innymi jedynie zasygnalizowałem. Chciałem utrwalić wszystko to, z czym osobiście się spotykałem. Próbowałem też zachować pamięć pewnych ludzi, którzy może nie byli na „świeczniku", ale byli interesujący. Stąd w książce pojawiają się nazwiska, które nie pochodzą z kanonu literatury emigracyjnej i nie tylko z Londynu. Myślę tu np. o Danucie Irenie Bieńkowskiej, której poświęciłem mały urywek. Mieszkała w Toronto, była nieszczęśliwą osobą, miała duży talent, którego nie potrafiła spożytkować, zginęła tragicznie i nagle wszystko się urwało. Ponieważ nie dbała o swoje „wzięcie" wśród Polonii, to zaczęto ją opuszczać. W dużej książce wydanej w 1989 przez Związek Nauczycielstwa Polskiego w Kanadzie, *Polska, wczoraj i dziś*, nie ma jej nazwiska, jakby tutaj nigdy jej nie było. A ona odegrała ważną rolę na polonistyce i jako postać była ciekawa. Moim celem była na pewno próba ratowania kogoś takiego. Są ludzie, którzy potrafią dbać o siebie, ale są tacy, którzy nie mają tego daru i przechodzą niepostrzeżenie.

JSG: W jednej z wypowiedzi na temat książki zauważył Pan, że *utrwalanie pamięci opisanej w osobistych relacjach jest jednym ze sposobów odzyskiwania przeszłości*. Czy czuł Pan potrzebę opowiedzenia o autorach, z którymi się Pan zetknął i o atmosferze tamtych londyńskich lat, gdyż nikt

inny tego tak nie zrobi?

FŚ: Zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, że pamięć nasza jest bardzo krucha. Po jakimś czasie w głowie powstają zbitki faktów i wyobrażeń, których człowiek nie potrafi rozróżnić. Dobrze jest zapisywać różne szczegóły, anegdoty, zachować daty. Bo tak na prawdę życie dużo szybciej biegnie, niż sobie wyobrażamy i szalenie trudno jest potem coś odtworzyć. Nie powinno się dopuścić do sytuacji, że jest dzieło, a nie widać twórców, jakby się nie liczyli, jakby ich twórczość była samorodna. Ja byłem w grupie poetów w Londynie. Ci, którzy żyją i potrafią coś jeszcze powiedzieć, mają tam odpowiednie świadectwo czy zapis, ale ci, którzy odeszli, jak np. Zygmunt Ławrynowicz, to jakby przestali istnieć. Nikt nie wydaje ich wierszy, nikt o nich nie mówi. W mojej książce wspominam wiersze Ławrynowicza, wyciągnąłem ponadto z listów różne jego wypowiedzi. Jest to smutna opowieść, ale coś o nim mówi. Ktoś inny może się na tym oprze i coś więcej dopisze w przyszłości. Sądzę, że są to obowiązki, które ciążą na żyjących. Takie wspomnienia na pewno właściwie wzbogacą panoramę emigracyjną.

JSG: Czyli jest to książka nie tylko oddająca sprawiedliwość tym, o których zapomniano, ale również służąca przyszłym pokoleniom, jako przyczynek do dalszych badań nad kulturą i literaturą emigracyjną.

FS: Ludzie, którzy tyle słyszeli o Londynie i powojennej emigracji, cóż zastaną, gdy tam pojadą? Dawne domy, cmentarze i dzieła. Ale w tych dziełach przecież nie wszystko się zachowało. Jest jeszcze aura, otoczka wokół ludzi, która była znana tylko współczesnym. Innym łatwiej będzie się domyślić, jeżeli będą mieli przesłanki, chociażby w postaci okruchów pamięci, jakie zebrałem w tej książce.

JSG: Przy takim budowaniu po czasie historii z okruchów pamięci istnieje ryzyko, że obraz ludzi, pojawiający się w szkicach jest pokazany wyłącznie poprzez Pana spojrzenie.

FS: Czekam na dalsze echa ludzi, którzy byli współobecni, którzy te same rzeczy widzieli, może nieco inaczej. Wtedy będzie kilka spojrzeń, co jest dobre, bo wówczas łatwiej o obiektywizm, o historyczną syntezę. Nie łudźmy się, jesteśmy ukształtowani w pewien sposób i to, co oglądamy, czy to, co czujemy, oddajemy przez pryzmat naszej formacji. I nawet niechcący mówimy inaczej, niż powie ktoś inny. Poprzez wiele zdań kształtuje się właściwy obraz. Unikniemy cynizmu, że wszystko jest hagiografią, że o umarłych należy tylko dobrze mówić. A my chcemy widzieć człowieka, który miał krew w żyłach.

JSG: Starał się więc Pan, żeby obraz wspomnianych postaci był jak najbardziej prawdziwy.

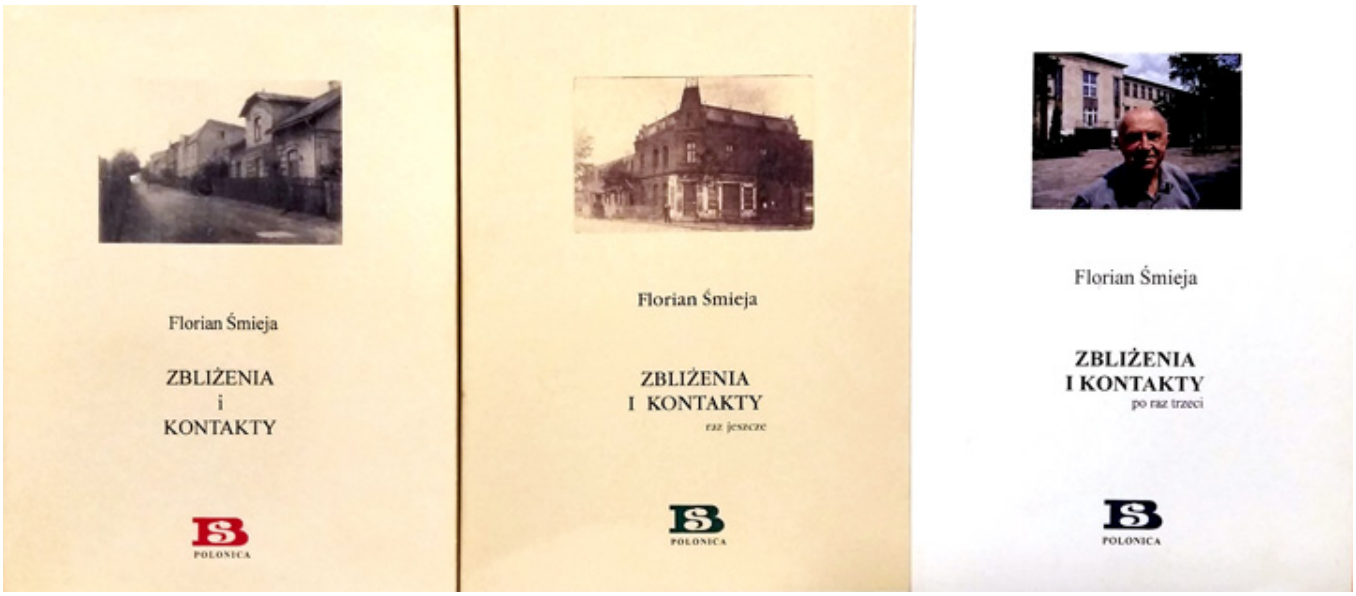
FS: Nieraz ma się takie wahania, zastanawiamy się, co to jest tzw. prawda. Czy prawdą należy szkodzić człowiekowi, czy lepiej przemilczeć pewne rzeczy. Jeżeli przemilczeć, to czy zaznaczyć, że się czegoś nie dotyka? Myślę, że tu kultura człowieka ma duże znaczenie. No i wiek. W młodym wieku człowiek wszystkich chce atakować, myśli, że ma do tego prawo, właśnie w imię prawdy. Z wiekiem człowiek pokornieje i rozumie, że trzeba bardziej oględnie pewne sądy ferować.

JSG: Czy postaci z Pana wspomnień, które zajmują w Pana pamięci najwięcej miejsca wyznaczały jakiś kierunek w układaniu całego zbioru szkiców?

FS: Tak, na początku pewne postacie bardziej mnie zafrapowały. Np. Paweł Łysek, którego powieści recenzowałem, z którym się przyjaźniłem i czułem potrzebę, żeby napisać o nim jakiś większy szkic. Potem tych postaci zaczęło przybywać, zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że to jest dobra droga i szukałem w swojej pamięci osoby, o której mogłem coś więcej powiedzieć. Ponieważ pracowałem u dr Jerzego Pietrkiewicza, jako asystent, napisałem o nim. Ale potem stwierdziłem, że szkice na temat krótkich kontaktów, też mogą być ciekawe. Wśród swoich papierów, znalazłem ciekawostkę, dwustronicowe przemówienie o Miłoszu, kiedy nas po raz drugi odwiedził w Londynie i kończył akurat 50 lat. Ja wtedy jako młody człowiek witałem tę bardzo ciekawą postać, która zadaje kłam naszym teoriom, że nie można pisać na

emigracji, bo co roku pisze wielką książkę. Miłosz odpowiedział listem, podziękował i powiedział, że traktowaliśmy go faktycznie jak jakiegoś jubilata. A wtedy przecież jeszcze nikomu się nie śniło o nagrodach i że właśnie ten Miłosz stanie się sztandarowym, wielkim polskim pisarzem.

I tak powstał zbiór – „Zbliżenia i kontakty”.



Ukazały się trzy tomy „Zbliżeń i kontaktów”.

JSG: We wstępie do książki pisze Pan o wspaniałej, barwnej atmosferze artystycznej powojennego Londynu. Pan tę polską kulturę emigracyjną współtworzył. Gdzie należałoby szukać przyczyny, tej ogromnej fali twórczości i wybitnych talentów w tym czasie?

FS: Wtedy w Londynie mieliśmy do czynienia z szalonym

dynamizmem idealizmu. Po zakończeniu działań wojennych, wśród byłych żołnierzy było wiele zapału i ta energia zaowocowała w inny sposób. Londyńska emigracja była pokaźna, ok. 100 tys. Polaków i wśród niej było bardzo wielu utalentowanych ludzi, wychowanych przez drugą Rzeczpospolitą, dla których w wielu wypadkach nie było powrotu do kraju. Co któryś młody człowiek w plecaku nosił pióro lub pędzel i jak nie pisał, to malował. Do Anglików trudno było przylgnąć, bo Anglia to kraj z tradycją i nie ma tam takiej możliwości zasymilowania się. Stąd duża potrzeba życia we własnej społeczności. Ludzie chcieli być ze sobą i robili dla siebie różne rzeczy. Wychodziły sukcesywnie czasopisma, nikt nikomu nie płacił, wszystko prawie było honorowe. Profesorowie wykładali za darmo i płacili za przejazd na wykłady z własnej kieszeni. I stąd te wielkie osiągnięcia, mimo braku pieniędzy i możliwości zawodowych. Ludzie pisali pamiętniki, wiersze. Twórczość ich była terapią nie tylko dla piszących, ale i dla innych. Kultura dawała pewne możliwości upustu i stąd tyle najrozmaitszych dowodów aktywności intelektualnej, artystycznej, z której będziemy ciągle czerpać.

JSG: Jednym z takich przejawów aktywności kulturowej z tamtego czasu, jest grupa *Kontynenty*, której jest Pan jednym z założycieli i pierwszym redaktorem pisma. Jak powstała ta grupa?

FS: W 1951 roku zostałem redaktorem *Życia Akademickiego* (miesięcznego dodatku do tygodnika katolickiego *Życie*). Drukowaliśmy wtedy cztery strony, ale po jakimś czasie oddzieliliśmy się. Potem doszliśmy do wniosku, że dawanie komunikatów i pisanie o studentach nas nie zadowala. Wtedy *Życie Akademickie* przerodziło się w pismo *Merkuriusz Polski* i tam pojawiało się więcej ambitnych tekstów, felietonów, esejów, satyr. Po jakimś czasie doszło do scysji z wydawcą, władzami Zrzeszenia Absolwentów i Studentów, gdyż młodzi ludzie zaczęli zabierać głos w sprawach stanowiska politycznego wobec Polski. Mówiono, że młodzi się wyłamują, że chcą nawiązać kontakty z komunistyczną Polską, że nie stoją na straży wartości. Przyszedł taki moment, że materiały, które ukazywały się w *Merkuriuszu* po Październiku, nie spodobały się starszyźnie. Na walne zebranie przyjechał gen. Władysław Anders i podziękowano redakcji. Wtedy założyliśmy własne, od nikogo już nie zależne pismo *Kontynenty*. Od początku współpracowali z nami ludzie na całym świecie, w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Izraelu. Drukowaliśmy za minimalną cenę, nikt żadnych pieniędzy nie brał, wręcz przeciwnie, składaliśmy się po funcie na miesiąc, żeby zapłacić Bednarczykom za druk.

Teraz *Kontynenty* są szlagierem w Polsce. Na kilku uniwersytetach studiuje się tę grupę. Ukazało się już drukiem kilka doktoratów na ten temat w Toruniu, Katowicach, Lublinie.

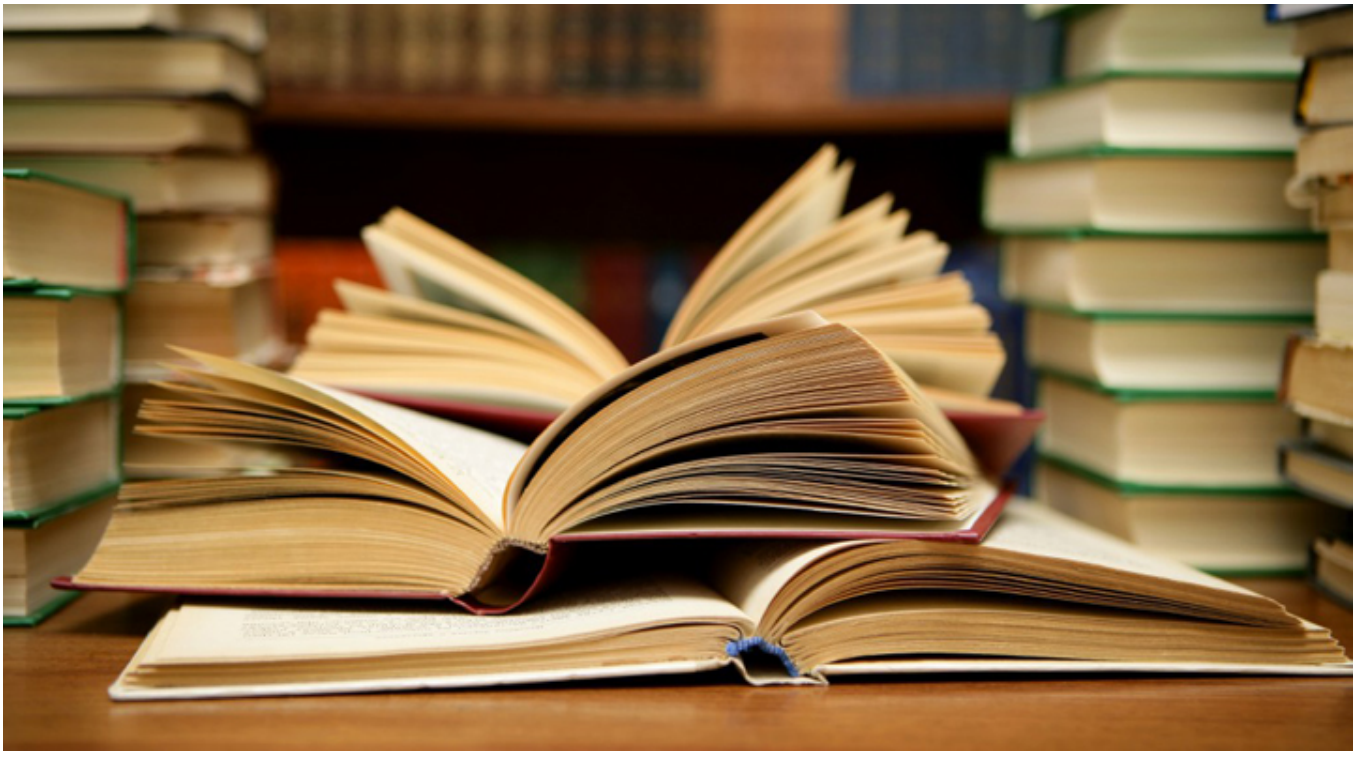
JSG: Panie Profesorze. Co mógłby Pan powiedzieć młodym, zbuntowanym, dopiero debiutującym poetom? Jaką radę mógłby Pan dać, tym wszystkim, którzy pragną tworzyć? Jak odróżnić posiadanie talentu od chęci „zostania poetą”?

FS: Jeżeli człowiek nosi w sobie jakieś istotne przesłanie, które chce wypowiedzieć i to w sposób niebanalny, pierwszą satysfakcję będzie miał, jeśli mu się to uda. To już jest osiągnięcie, bez względu na to, czy spotka się z przyjęciem czy nie. Ważne jest, żeby być sobą, żeby nie być epigonem niczyjej myśli, nie iść w ślady innych ludzi, podszywać się pod nich, nie bać się jasności. Odpowiedzialność za naszą twórczość gwarantuje jej autentyzm. Nie należy przejmować się modą. Bycie dekonstrukcjonistą czy postmodernistą jest czymś chwilowym i wtórnym. Sukces powinien być niespodzianką, nawet dla autora. Może on oznaczać wiele rzeczy. Także dojrzałość, względnie znalezienie własnego głosu. Młody człowiek winien najpierw poznać siebie i upewnić się, że na prawdę chce i musi pisać, bo jak się nuży i szybko odpada, to znaczy, że się tylko bawił. Nie ma krótkiej drogi do sukcesu.

rozmawiała Joanna Sokołowska-Gwizdka

„Zbliżenia i kontakty”, T. I, wyd. Biblioteka Śląska 2003, „Zbliżenia i kontakty raz jeszcze”, T. II, wyd. Biblioteka Śląska

2007, „Zbliżenia i kontakty po raz trzeci”, T. III, wyd. Biblioteka Śląska 2015.



Florian Śmieja urodził się 2 sierpnia 1925 roku w Kończycach, obecnie dzielnicy Zabrza. Do 1939 roku ukończył dwie klasy gimnazjum w Tarnowskich Górach. W roku 1940 wywieziony został na roboty przymusowe do Niemiec, skąd udało mu się zbiec do Belgii, gdzie ukrywał się do wkroczenia, w sierpniu 1944 roku, 1. Polskiej Dywizji Pancernej gen. St. Maczka. Przedostał się wówczas do Anglii, gdzie wstąpił ochotniczo do 1

Korpusu. Po wojnie, po zdaniu egzaminu maturalnego w gimnazjum polskim w Szkocji, w latach 1947-50 studiował anglistykę oraz literaturę i język hiszpański w *National University of Ireland* w Cork, uzyskując dyplom *Bachelor of Arts*. Do 1955 roku był asystentem i lektorem języka polskiego *School of Slavonic and East European Studies* w Londynie; w roku 1955 uzyskał tytuł Master of Arts. Doktoryzował się w 1962 roku w *King's College* w Londynie. Wykładał hispanistykę w uniwersytecie londyńskim i w Nottingham. Gdy w 1969 roku przeniósł się do Kanady, podjął pracę jako gościnny nadzwyczajny profesor w *University of Western Ontario* w mieście London. Profesorem zwyczajnym tego uniwersytetu został w 1970 roku. W tym samym i w 1974 roku wygłosił cykl wykładów na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Posiada także tytuł profesora Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Po przejściu na emeryturę w 1991 roku, pracował nadal na kanadyjskim uniwersytecie w London. Wykładał na wydziale iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego, w uniwersytetach w Ostrawie i w Wilnie. Współpracował z Uniwersytetem Opolskim i Akademią Polonijną w Częstochowie. Stale mieszka w Mississaudze w Kanadzie.

Florian Śmieja publikował na łamach wielu pism londyńskich i krajowych, pism akademickich – hiszpańskich, anglojęzycznych i polskich. Wydał kilkanaście tomików wierszy. Jest współredaktorem, obok Wacława Iwaniuka, antologii *Seven*

Polish-Canadian Poets (1984). Przełożył i opublikował w języku polskim liczne utwory autorów hiszpańskich i hiszpańskojęzycznych. Od ponad pięćdziesięciu lat ubiegłego wieku, w czasopismach polonijnych, krajowych i hiszpańskich ukazują się jego artykuły krytyczne, opracowania, wywiady. W maju 2015 r. otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego. Został też odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Izabeli Katolickiej, przyznanym przez króla Hiszpanii Filipa VI. Profesor Florian Śmieja ciągle jest twórczy i aktywny.

Myśleć obrazami

Wieczór poezji Andrzeja Buszy w Konsulacie Generalnym RP w Toronto



Florian Śmieja (z lewej) i Andrzej Busza (z prawej) w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, fot. Nicholas Kusiba.

Justyna Budzik

Spotkanie ze sztuką w wymiarze literackim, malarskim czy muzycznym może stać się wydarzeniem, które poruszy najczulsze struny wrażliwego na piękno odbiorcy. Koneser i pasjonat takich doznań szczególną radość czerpie zapewne również z chwil, w których dane mu jest uczestniczyć w „misterium" korespondencji sztuk, kiedy słowo poetyckie splata się z obrazem malarskim, filmowym czy muzycznym. Jednym z takich wydarzeń, podczas którego motywem przewodnim stał się właśnie synkretyzm sztuk, był wieczór poezji Andrzeja Buszy, który odbył się 25 kwietnia 2017 roku w Konsulacie Generalnym Rzeczypospolitej Polskiej w

Toronto. W spotkaniu uczestniczyli Konsul Generalny RP w Toronto Grzegorz Morawski, Konsul Andrzej Szydło, a także zaproszeni goście. Byli wśród nich m. in. poeci – Profesor Florian Śmieja, Edward Zyman, Marek Kusiba, oraz wielu miłośników poezji. Podczas wieczoru odbyła się promocja tomu wierszy wybranych Andrzeja Buszy Atol, który został wydany w 2016 roku przez Polski Fundusz Wydawniczy w Toronto i Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza".

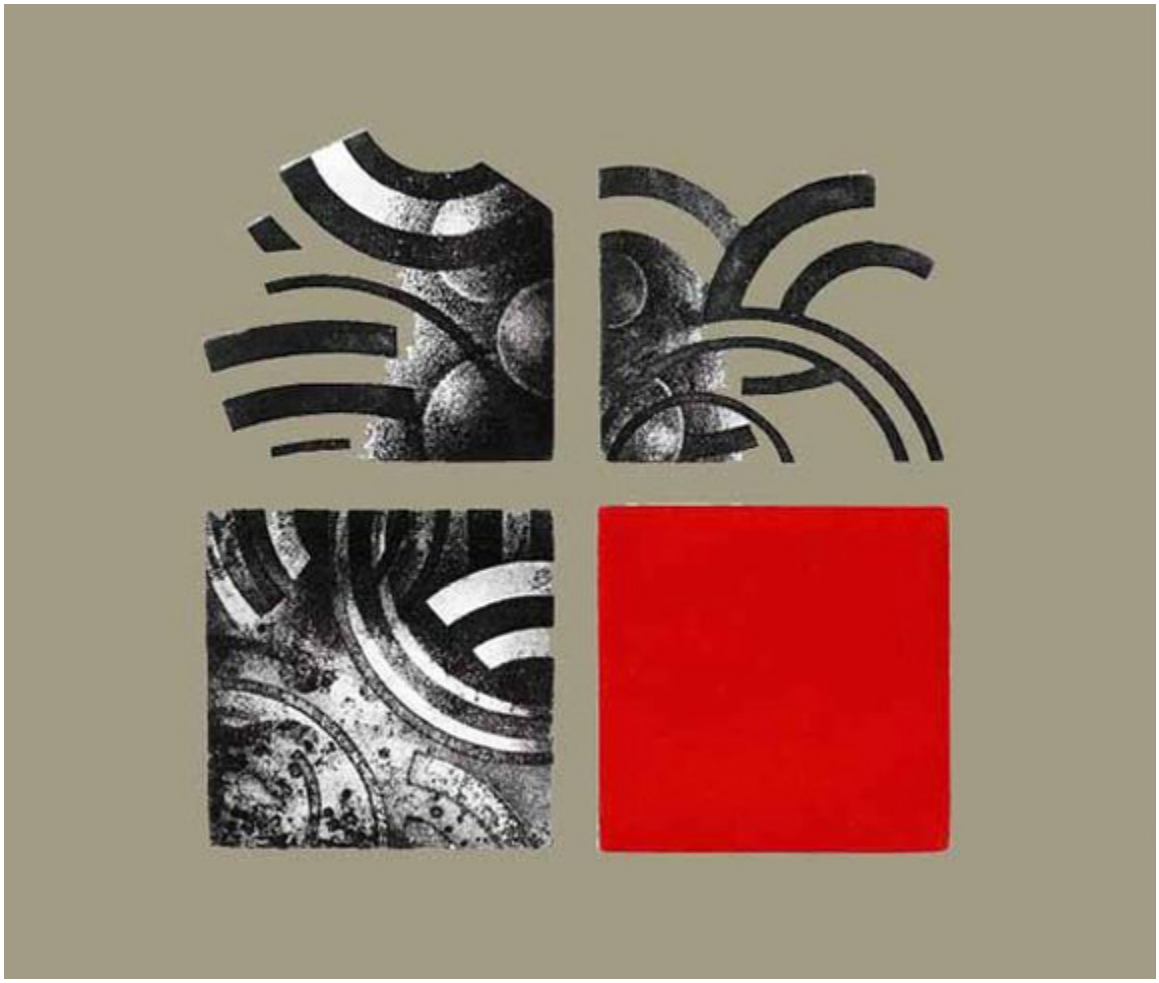
Od ponad dziesięciu lat naukowo zajmuję się twórczością polskich poetów zamieszkałych w Kanadzie. Od dłuższego czasu moje badania ogniskują się właśnie wokół anglojęzycznej poezji Andrzeja Buszy, dlatego propozycja wzięcia udziału w wieczorze i poprowadzenia rozmowy z poetą była dla mnie wyróżnieniem i przyjęłam ją z radością.

O tej twórczości wiele już napisano i trudno ją skrótowo przedstawić. Niech więc garść zebranych tu refleksji posłuży jako skromne wprowadzenie w świat wyobraźni poetyckiej autora Obrazów z życia Laquedema.

Andrzej Busza to poeta, tłumacz, eseista, historyk literatury i profesor emeritus Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej, gdzie przez wiele lat wykładał literaturę brytyjską. Przed wyjazdem do kanadyjskiego Vancouver, współtworzył w Londynie poetycką grupę „Kontynenty", do której należeli również Florian Śmieja,

Bogdan Czaykowski, Zygmunt Ławrynowicz, Jan Darowski, Bolesław Taborski, Jerzy Stanisław Sito, Janusz Artur Ihnatowicz i Adam Czerniawski. W rys biograficzny Buszy, podobnie jak w przypadku Śmieji i Czaykowskiego, mocno wpisuje się motyw nieustannych przesunięć na mapie świata, zmiany miejsc zamieszkania, nie dziwi więc fakt, że wątek Ahaswera to jeden z wyróżniających jego lirykę motywów. Próba określenia własnego miejsca w świecie z czasem wyparta zostaje przez zupełnie inne wartościowanie, i Kraków (miejsce urodzenia poety), Palestyna, gdzie mieszkał jako dziecko, czy Londyn, z którego wyjechał do Kanady na zaproszenie Bogdana Czaykowskiego, to dla autora poematu Kohelet miejsca na pewno sentymentalne, do których powraca się dosłownie lub cierpliwą i niesłabnąca pamięcią, nie są one jednak przestrzeniami ostatecznego zadomowienia. W ich określeniu poeta posługuje się zupełnie innymi kryteriami. To właśnie szeroko pojęta kultura zachodnioeuropejska, a więc literatura, malarstwo i muzyka, staje się jego wewnętrznym azylem i najbezpieczniejszą arkadią. Dusza utęskniona wraca więc w tej poezji do miejsca symbolicznego, a poetycka persona (istotny wyróżnik liryki Buszy, który ma na celu zobiektywizowanie wszelkich przedstawień) nawiedza komnaty Szekspirowskiego zamku w Elsynorze (Powrót Hamleta), staje się jedną z biblijnych postaci (Łazarz), innym razem ulotną chwilę rzeczywistości wpisuje w ramy jednego z Chagallowskich obrazów, subtelnie podkreślając w ten sposób, jak cienka może być granica oddzielająca to, co realne, od tego, co artystycznie

przetworzone…



Leszek Wyczółkowski

Właśnie takie spojrzenie na ludzką egzystencję, umiejętność kadrowania rzeczywistości, nieustannego wojażowania w świecie literatury (głównie anglosaskiej), malarstwa i muzyki, czego świadectwem jest cała liryka Andrzeja Buszy, było głównym tematem dyskusji podczas wieczoru poezji w Konsulacie RP w Toronto. Wiersz List do wszechświata, który poeta odczytał na początku spotkania, skłonił do refleksji, jaka może towarzyszyć

uważnemu czytelnikowi tej poezji już przy lekturze debiutanckiego tomiku Znaki wodne, i która sytuuje jego „światopogląd” (termin Martina Heideggera) w przestrzeni myśli egzystencjalnej, nierzadko głęboko pesymistycznej, czy wręcz gnostycznej. Jak odnaleźć się w świecie, w którym wszystko zmienia się w szaleńczym pędzie, gdzie człowiek próbuje przechytrzyć naturalne prawa ludzkiej egzystencji, o to również poeta zapyta w przywołanym liryku:

> Drogi Wszechświecie, nie masz dość
>
> Tych wściekle mnożących się mikrobów
>
> Tworzących teorię twojej niezniszczalności (…)
>
> Czy nie wolałbyś (…)
>
> Bezczasowego pokoju i ciszy.

W pytaniach tych ujawnia się poetycka ironia, a może i rezygnacja… Uczucia te zapewne wiążą się z tymi, których echa słychać w wielu zbiorach poetyckich Buszy, mianowicie z niepewnością, lękiem czy też świadomością emocjonalnego nieprzystawania/ nieprzynależenia do współczesnego świata. Eskapistyczna potrzeba zostaje w tej poezji zaspokojona właśnie

poprzez świadomie i konsekwentnie budowany alternatywny świat kulturowy. Poeta wciąż przebywa w przestrzeni obrazów, bo jak sam wyznał podczas wieczoru poezji, myśli obrazami, które układają się w tej liryce palimpsestowo. Ukojenie przynoszą więc na przykład obrazy malarskie, o czym zaświadcza chociażby liryk Pory roku, odczytany podczas spotkania w Toronto w swej pierwotnej – angielskiej wersji (Andrzej Busza od lat 70. tworzy i publikuje wiersze w języku angielskim) oraz w polskim tłumaczeniu autorstwa Bogdana Czaykowskiego. Przywołani tu zostają wielcy mistrzowie płócien, postimpresjoniści, prerafaelici, a poeta tworzy słowem idylliczny obraz, niczym te z liryków brytyjskiego romantyka Johna Keatsa.

Te poetyckie (malarskie) galerie wzbogacają takie wiersze jak Klowni na deszczu i wietrze czy Szkic burzy. W tym ostatnim ujawnia się już niemal filmowe kadrowanie rzeczywistości. W rozmowie Andrzej Busza podkreślił, że w jego własnym procesie twórczym jednym ze źródeł artykułowania jest właśnie film. W ten sposób w przestrzeni poetyckiej diegezy powstały kolejne filmowe ujęcia lirycznych i filozoficznych zarazem refleksji Buszy. Myślę tu w szczególności o dwóch wierszach – Powrót Hamleta i Łazarz, które, jak wyznaje poeta, inspirowane były jego życiowymi doświadczeniami. W pierwszym, ja poetyckie zakłada Hamletowską maskę i już pośmiertnie, jako zjawa, powraca na zamek w Elsynorze. Okoliczności powstania tego wiersza, jak wyjaśnia poeta, związane były z jego przejściem na

emeryturę i odejściem z uniwersytetu. Po jakimś czasie odwiedził swe dawne miejsce pracy, a uczucia, jakie mu wówczas towarzyszyły, wywołały skojarzenia z Szekspirowskim dramatem. Wiersz Łazarz powstał jako owoc bolesnej straty przyjaciela i poety Bogdana Czaykowskiego. Oba liryki są kolejnym świadectwem głębokiego zanurzenia w świecie szeroko pojętej kultury, i – co nie mniej ważne – coraz częściej ujawniającej się fascynacji obrazem filmowym traktowanym tu jako medium i natchnienie.

Liryka Andrzeja Buszy opalizuje symbolami, znaczeniami, a przede wszystkim imponuje mądrym namysłem filozoficznym. Refleksje poety układają się w bogatą galerię malarską i literacką, w której jedynie pozornie każdy obraz poetycki powinien być traktowany odrębnie. W istocie zaś wszystkie tworzą spójny i logiczny kod myślowy, i zdaje się, że właśnie z tak szerokiej, jednoczącej perspektywy wyłania się głębia i mądrość tej poezji.

***

Wieczór poezji Andrzeja Buszy zakończył się dyskusją i pytaniami gości zainteresowanych twórczością autora Astrologa w metrze, a także jego filozofią życia, o której subtelnie i najczęściej zagadkowo pisze w swych lirykach. Po spotkaniu w Toronto rozmawialiśmy jeszcze wiele razy o sztuce, literaturze, o

tym, co poetę porusza i inspiruje. Z każdej, nawet najkrótszej wymiany myśli, wyłaniał się nowy i chyba nie do końca odgadniony obraz pisarza i myśliciela, z uwagą obserwującego piękny, ale i zadziwiający świat.

Edward Zyman

Od wielu już lat Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie we współpracy z Konsulatem Generalnym Rzeczpospolitej w Toronto organizuje cykl spotkań z polskimi twórcami. W dniu 25 kwietnia 2017 roku w gościnnym dla polskiej kultury torontońskim konsulacie RP z kilkudziesięcioosobową publicznością spotkali się dr Justyna Budzik, adiunkt anglistyki (od października – amerykanistyki) Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka książki „Zadomowieni i wyobcowani". O sytuacji pisarzy polskich w Kanadzie oraz prof. Andrzej Busza – poeta, tłumacz, znawca twórczości Josepha Conrada, eseista i historyk literatury. Przedmiotem wykładu dr Budzik, przeprowadzonego w niezwykle atrakcyjnej formie emanującej bogactwem trafnych rozpoznań rozmowy z poetą – były wybrane wątki jego interesującej, pojemnej intelektualnie twórczości i inspirujących ją związków z literaturą i sztuką zachodnioeuropejską. Refleksje badaczki wspierała prezentacja czytanych po polsku i angielsku wybranych wierszy poety, także w jego sugestywnej

interpretacji. Choć pozornie mogłoby się wydawać, że ten w dużej mierze scjentystyczny, operujący językiem krytycznoliterackim dialog może okazać się zbyt trudny w odbiorze, wieczór okazał się pełnym sukcesem. Sprawiły to zarówno imponująca kompetencja krakowskiej badaczki, jej rzadka umiejętność mówienia o sprawach skomplikowanych w sposób prosty, zrozumiały i zarazem niezwykle barwny, jak i bezpretensjonalność, głęboka wiedza i duże poczucie humoru poety, który okazał się tak dla prowadzącej jak i dla publiczności rozmówcą wręcz idealnym. Organizatorzy nazwali wieczór, posługując się tytułem jednego z wierszy swego gościa, „Listem do wszechświata". I takim w istocie był – podejmujący najważniejsze problemy współczesności, głęboko osadzony w *universum* zachodnioeuropejskiej kultury i jednocześnie oznaczony dystynkcją osobistą, indywidualną, ukazującą wrażliwość i rozumienie świata konkretnego twórcy, związanego od ponad półwiecza z Kanadą polskiego (choć anglojęzycznego) poety – Andrzeja Buszy.

Człowiek to styl. Mieczysław Grydzewski (1894-1970)



Mieczysław Grydzewski, fot. Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu.

Florian Śmieja

Nie należałem do ścisłego grona współpracowników „Wiadomości”, niemniej przeto mieszkając w Londynie często spotykałem Mieczysława Grydzewskiego, a w pewnym okresie nieomal codziennie, w czytelni *British Museum*. Kłanialiśmy się sobie, niekiedy wymieniali kwerendy. Pracowałem wówczas w *School of Slavonic and East European Studies* jako asystent Jerzego Pietrkiewicza. Na miejscu mieliśmy bieżące i dawne numery „Wiadomości”, okazyjnie dostawałem egzemplarze od Antoniego Bormana, lojalnego administratora, którego nieraz odwiedzałem w pobliskim lokalu redakcji. Oczywiście, egzemplarze autorskie nadchodziły regularnie. Dopiero po

opuszczeniu Londynu tygodnik zaprenumerowałem i abonowałem do jego zamknięcia w 1981 roku.

Po odejściu ze *School of Slavonic Studies* do *British Museum* zaglądałem rzadziej. Ponieważ od czasu do czasu posyłałem do „Wiadomości" wiersze i *hispanica*, wywiązała się korespondencja, która trwała od roku 1955 do 1966, a dotyczyła głównie współpracy. Listy redaktora były lakoniczne, stwierdzające przyjęcie czy odrzucenie tekstów. Niekiedy zawierały komentarze, zapytania czy prośby. Wyłania się z tych listów obraz redaktora Grydzewskiego zapamiętany przez jego przyjaciół, zgoła odmienny od pomówień ludzi postronnych czy wręcz niechętnych, którzy stworzyli niedobrą famę, jakoby był on surowym pedantem, który z uporem godnym lepszej sprawy pilnował ustalonego przez siebie wzorca i nie pozwalał na żadne odchylenia od przyjętej normy. Ze zdziwieniem przeczytałem wypowiedź Marii Danilewicz Zielińskiej, zdaniem które:

> Grydzewski wykreślał, skracał i był bardzo despotyczny. Współpracownicy skarżyli się, że zostawiał połowę artykułu albo zmieniał słownictwo. Kultura, 10/637).

W tym miejscu warto może dodać, że aby się uporać z ogromną ilością pracy redakcyjnej, którą sam wykonywał, nie tracił czasu i każdy otrzymany tekst zaraz adiustował i poprawiał, zanim go

ostatecznie zakwalifikował do druku. Kiedyś odesłał mi artykuł przepraszając za poprawki już naniesione:

> (…) nie przypuszczając, że może nasunąć wątpliwości przystąpiłem od razu do adiustacji.

Z tego powodu, mówiono dość powszechnie, wziął się t.zw. „ujednolicony" styl wszystkich współpracowników „Wiadomości". Tyle legenda. A jaka była rzeczywistość?

W liście do Juliusza Sakowskiego Grydzewski powiada:

> Co do poprawek w artykułach wyjaśniłem i wiele razy już na ten temat mówiliśmy, że są to przeważnie propozycje (bez cudzysłowu), dzwonki alarmowe, sygnały ostrzegawcze i że nigdy nie mają na celu narzucenie autorowi swoich poglądów, ale ulepszenie podania jego własnych, co nie znaczy, by zawsze były słuszne i by autor nie miał prawa ich odrzucić. Osobiście jestem bardzo zadowolony i wdzięczny, jeżeli mi ktoś zwraca uwagę, nawet jeżeli się nie godzę: gdybym miał możność techniczną, każdą robioną przeze mnie notatkę dawałbym dziesięciu osobom do przejrzenia, nigdy nie dość poprawiania! Takie właśnie przygotowanie artykułów do druku uważam za swój obowiązek i nigdy się

> go nie wyrzeknę… Nie rozumiem drażliwości pod tym względem… Skala moich propozycji jest rozległa i jeżeli jestem uparty, to tylko jeśli chodzi o błędy językowe i fakty.

W liście do mnie z 11. stycznia 1958 roku Grydzewski napisał podobnie:

> Poprawki moje są zawsze propozycjami i autor rzecz prosta może je odrzucić.

Kiedyś w moim wierszu drukowanym w „Wiadomościach” znalazło się słowo „mrokiew” używane na Opolszczyźnie. Chodziło o czarne, burzę zwiastujące chmury. Redaktor prosił mnie o wyjaśnienie znaczenia. „Idzie mrokiew od Odry”, powiadali moi *outata*, czyli starzyk.

Grydzewski często radził. Kiedyś na łamach jego pisma polemizowałem z Józefem Łobodowskim, a warto dodać, że Grydzewski z zasady polemik nie lubił. Otrzymawszy mój list Grydzewski odpowiedział, że go zamieści, ale, sądził, że gdybym powiedział pewne rzeczy wyraźniej, to list byłby bardziej przekonywujący. Zaraz potem dodał:

> Naturalnie, to jest tylko moja rada, do której nie musi się Pan zastosować.

Poproszony o sugestie czy pomoc, służył chętnie lub usprawiedliwiał się pilnym wyjazdem, względnie wyjątkowo natężoną pracą. Niekiedy zasięgał mojej opinii w sprawach języka czy literatury hiszpańskiej. Jak dokładnie teksty roztrząsał, świadczy np. ustęp z Lorki, który analizował przy pomocy francuskiej i angielskiej wersji. Pisał wtenczas:

> Będę wdzięczny Drogiemu Panu, za przejrzenie i poprawienie na kopii, którą załączam wraz z oryginałem. W szczególności nie jestem pewny zwrotu „napiętnowana", bo „fletrie" francuskie ma podwójne znaczenie: napiętnowana lub zwiędnięta. Ponieważ narzeczona uciekła z kochankiem, więc prędzej jest napiętnowana, bo skoro młoda, nie może być zwiędnięta. […] Niech Drogi Pan nie traci czasu na uzasadnianie swoich poprawek, tylko poprawi jak wypracowanie ucznia.

Złośliwcy utrzymywali, że stosunek Grydzewskiego do poezji był raczej ambiwalentny. Mówili, że zapasy wierszy, dokładnie pomierzonych, czekały na stosowną okazję, gdy przy łamaniu

numeru powstają okienka, czyli białe plamy, do których redaktor dopasowywał wiersze według ich rozmiarów. Ja bym powiedział, że jeżeli tak było w istocie, to był to zabieg praktyczny, a pikantny szczegół dorzucił w liście do mnie Michał Chmielowiec, następca Grydzewskiego na stanowisku redaktora. Pisał on że”

> „Wiadomości” od lat gardziły tzw. aktualnością i Grydzewskiemu przewrotną przyjemność sprawiło zawsze drukowanie wierszy o wiośnie w listopadzie lub o kotlecie wieprzowym w Wielki Piątek.

Ogłaszanie wierszy nie zawsze było sprawą prostą. Po ukazaniu się mojego wiersza „Forsycja”, odezwał się z Caracas Józef Jenne, który w wierszu dopatrzył się ataku na siebie i w rewanżu napisał wiersz, nakazując Grydzewskiemu ogłosić go również na pierwszej stronie „Wiadomości”. Grydzewski przesłał mi do wglądu ów osobliwy list oraz do mnie zatelefonował, by mi zakomunikować treść odpowiedzi. Powtórzył ją w liście do mnie:

> Mianowicie, że nie dopatruję się w wierszu Pana żadnych aluzji politycznych, a jeżeli nawet są, dlaczego bierze je do siebie, skoro nie jest odwilżowcem, i że wiersza nie będę drukował.

Oczywiście Grydzewski miał świętą rację i pokazał, że poetycki idiom nie był mu obcy.

Na koniec wspomnę drobną jeszcze sprawę. Bawiąc w 1958 roku w Madrycie, pozwoliłem sobie zwrócić się do Grydzewskiego o sprawdzenie, czy British Museum posiada pewną książkę. Spełniwszy moją prośbę redaktor z kolei zlecił mi misję.

> Tak się złożyło, że właśnie pomyślałem kogo znaleźć w Hiszpanii, kto by załatwił mi pewien drobiazg. List przyszedł w samą porę. Będę wdzięczny Panu za przywiezienie mi butelki wody kolońskiej *Arpége* zdaje się *Lanvina*. Nie można tego dostać we Francji, bo jest wyrabiane na wywóz. Kosztuje około 120 pesetów: chodzi mi o butelkę nie większą, ale właśnie w tej cenie…

Swój pierwszy list, w którym Grydzewski zawiadamiał o odrzuceniu moich wierszy, zakończył kurtuazyjnym zwrotem: „Łączę wyrazy wysokiego szacunku”, ostatni, również odmowny, firmował „Łączę serdeczny uścisk dłoni”.

Człowiek to styl.

Giedroyć też człowiek



Jerzy Giedroyć, fot. Ignacy Szczepański.

Florian Śmieja

O redaktorze „Kultury” często mówiło się, że to „Książę”, a więc ktoś niezwyczajny, osobliwy, nietypowy. Taki *superman*, po którym rzeczą naturalną było spodziewać się rzeczy wybitnych:

odwagi myślenia, suwerenności, dżentelmeństwa, klasy. I bez wątpienia Giedroyć cechy te posiadał w dużym stopniu.

Ale istniał również konkretny człowiek, Giedroyć z nałogiem palenia, zażarty korespondent, miłośnik psów.

Jego słynna recepta na długowieczność: palenie tytoniu, nie branie urlopu i obywanie się bez snu, nie wykluczała sporadycznych odchyleń, a przynajmniej marzeń. I tak w liście z 1957 roku odpowiadając na mój kolejny raport z hiszpańskich podróży Giedroyc pisał:

> Od lat nie byłem w stanie wziąć urlopu i jestem teraz zupełnie wykończony. Marzę o jakiejś maksymalnie pustej plaży, z dobrym piaskiem, ale nie zanadto prymitywnej. Gdyby Pan miał (nie sprawiając sobie kłopotu) jakieś adresy, to bardzo będę wdzięczny. Idzie mi o koniec sierpnia, raczej wrzesień.

Giedroyć drukował moje wiersze, przekłady, omówienia i noty (wiersze niekiedy akceptował Marian Pankowski, a później, Gustaw Herling-Grudziński). Nie raz je także odsyłał. Potrafił cieszyć się cyklem recenzyjnych przeglądów nowości z literatury języka hiszpańskiego i powiedzieć o moich przekładach, że „niektóre są prześliczne”. Kiedy indziej rezygnował z oferty.

Napisawszy kiedyś obszerną recenzję z monografii poświęconej hiszpańskiej literaturze emigracyjnej posłałem ją do „Kultury”. Redaktor szkic odrzucił.

> Temat jest niezmiernie interesujący i wymagający zarówno przeanalizowania, jak i wyciągnięcia wniosków, choć trudno porównywać sytuację emigracji hiszpańskiej z emigracją polską. Niech Pan się nie gniewa, ale Pana artykuł robi na mnie wrażenie, że jest pisany ze zbyt wyraźną i ze zbyt podkreśloną analogią do stosunków polskich. Z tą analogią nie bardzo się mogę zgodzić, gdyż trudno porównać stosunki w Hiszpanii i w Polsce, specjalnie w ostatnim okresie, no i sytuacja polskiej literatury emigracyjnej jest też inna.

Choć wywody Giedroycia nie były pozbawione pewnej racji, broniłem się w odpowiedzi zażarcie. Pisałem:

> Nie mogę się zgodzić z zarzutem, że pisałem „pod” coś (kraj?), „anty” coś (emigracja polska?). Co najwyżej można mnie pomawiać o mało krytyczne przyjmowanie tego, co hiszpański krytyk postuluje, a co można by częściowo zaliczyć do tzw. pobożnych marzeń. Wydawało mi się natomiast, że właśnie na podstawie różnych kwestii zawartych w omówieniu, ktoś bardziej powołany do sądu

> mógłby się pokusić o wykazanie, że polska literatura emigracyjna jest tak wspaniała jak grube są tomy Terleckiego i paplanina na temat literatury Mieroszewskiego […]
>
> Nie jestem naiwny, by twierdzić, że Hiszpania to wolny pod każdym względem kraj. Ale ponieważ idzie na nią nagonka ze wszystkich stron połączona z przemilczaniem pozytywów, staram się te ostatnie podkreślać. Jeśli więc jest coś w omówieniu pisanego pod kraj, to pewne prawdy o Hiszpanii, o których tam nie wolno pisnąć.

Kiedy Pablo Neruda otrzymał nagrodę Nobla, posłałem Giedroyciowi kilka przekładów jego poezji na język polski. Równocześnie odebrałem z Paryża fotokopię naiwnych politycznych wierszy Nerudy po francusku. Giedroyć śląc mi je prosił, bym je przełożył i tymi tekstami wzbogacił przesłane mu przekłady.

Odpowiedziałem wtedy odmownie argumentując, że te przesłane mi polityczne teksty nie reprezentują istotnej twórczości chilijskiego poety i że uważam przekładanie ich za stratę czasu. Ciągnąłem dalej, że gdyby je drukować, oczywista stała by się tendencyjność i złośliwość. Pisałem:

> Sądzę, że te krańcowe przykłady partyjnego wiernopoddaństwa nadają się do jakiegoś złośliwego artykuliku o Nerudzie. Łobodowski o nim w tej wenie pisał. Ale czy „Kultura” powinna też tak pisać, nie wiem… Neruda jest wielkim poetą. I pozostanie nim, mimo politycznych nonsensów. Ktoś powiedział, że talent należy oceniać po szczytowych osiągnięciach, a charakter po jego niżach.
>
> Zresztą ponoć nasi Morsztynowie czy Trembecki nie zachowali się wcale lepiej, a ostatnio, tuziny pisarzy i poetów składało hołdy różnym przejściowym wielkościom i wrogom Polski. Najczęściej im to zapominamy. Spośród ostatnich emigrantów z Polski, z których wielu wspiera polską prasę, literaturę czy naukę na emigracji, niejeden ma na sumieniu głupstwa *a’la* wiersze Nerudy.

Moje argumenty redaktora przekonały.

Natomiast pryncypializmu Giedroycia doświadczyłem wstawiając się dwadzieścia lat temu za współpracownikiem, któremu „Kultura” zamknęła swoje łamy, profesorem Adamem Bromke. Argumentowałem wtedy tak:

> Jako jeden ze starych czytelników „Kultury” ubolewam nad

> tym faktem i sądzę, że nadszedł czas, by sprawę ponownie rozpatrzyć. Idzie mi zarówno o stratę doskonałego pióra, jak i o zasady wolnego pisma, z którym wielu ludzi wiąże nadzieje, pisma, które nie powinno bać się tolerancji i otwarcia na głosy i postawy Polaków. Skłania mnie do pisania raz po raz ukazujący się atak bardzo niepowołanych stróżów moralności, różnych panów z „Wolnej Polski" powołujących się na akt „Kultury". Dawanie im broni do ręki jest jednym z niefortunnych następstw sytuacji jaka przed czasem zaistniała. Nie myślę, by było brakiem lojalności zlikwidowanie przez Pana całego incydentu.

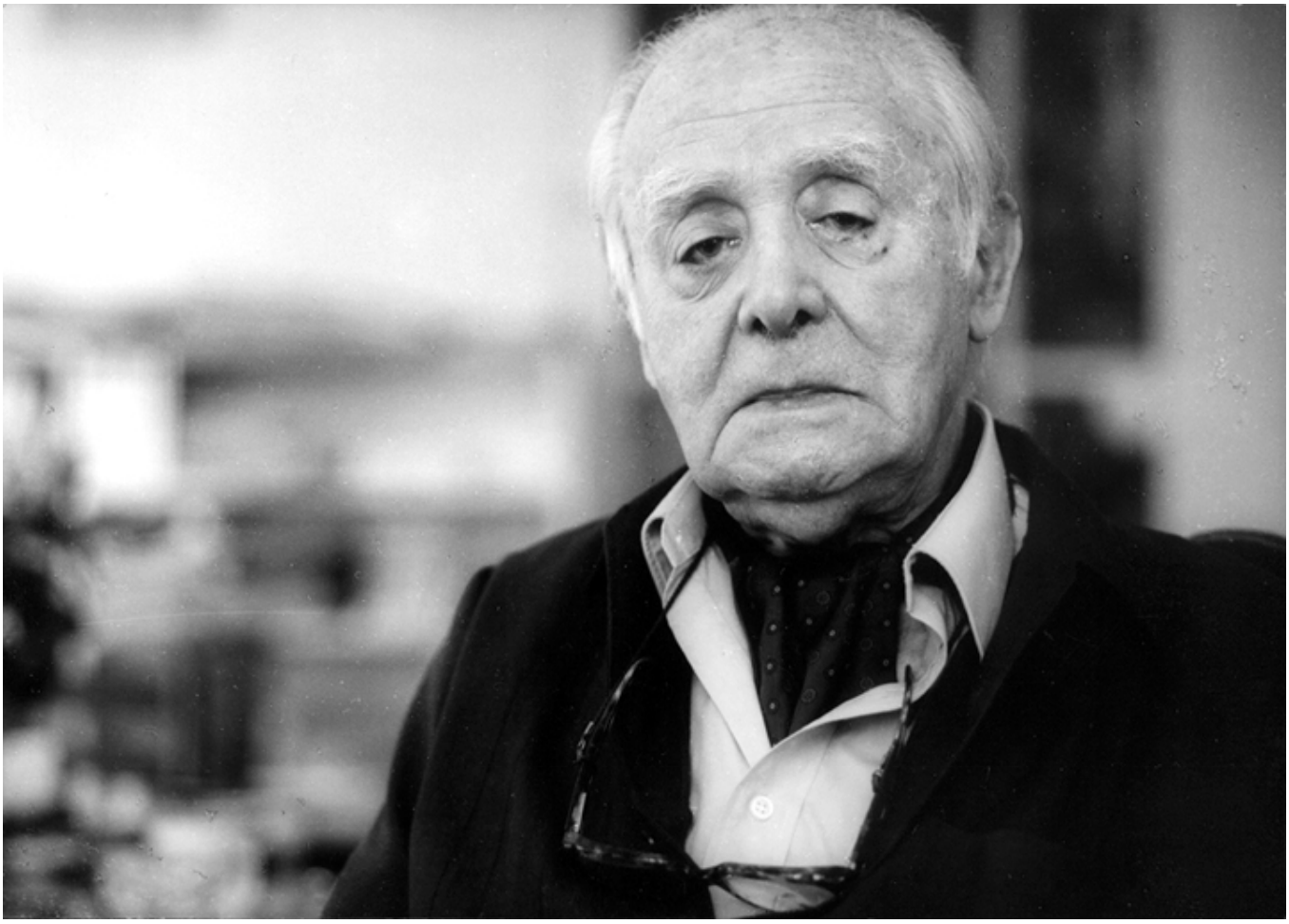
Giedroyć na to nie poszedł. Odparł:

> Każde pismo ma swój profil i p. Adam Bromke do tego profilu nie pasuje, jak zresztą wiele innych osób. Ma on zresztą otwarte łamy szeregu pism, tak że nie można powiedzieć, że niedrukowanie go w „Kulturze" jest niedopuszczeniem go do głosu. Zresztą p. Bromke pisywał bardzo okazyjnie, jak swoje wspomnienia harcerskie w „Zeszytach Historycznych" i dwa czy trzy artykuły normalnie dyskusyjne, które zamieściłem w „Kulturze", ale nie mogę przekształcić pisma na jedną wielką trybunę dyskusyjną. Byłby to nawrót do tradycji Grydzewskiego, którego bardzo wysoko ceniłem jako redaktora, ale nigdy nie podzielałem jego poglądów na

> sposób redagowania pisma.

Kiedy Polski Październik zelektryzował emigrantów na Zachodzie, oczy wielu skierowane były na Paryż. Wydając wtedy „Merkuriusza Polskiego” w Londynie pilnie obserwowaliśmy reakcję „Kultury”. W liście do Giedroycia niefortunnie użyłem słowa „wolta”. Redaktor się obruszył.

> Nie bardzo rozumiem co Pan nazywa „woltą Kultury”… Nie sądzę bowiem, by uważał Pan za woltę popieranie przez nas wolności prasy i tzw. rewizjonistów krajowych z „Po Prostu” i „Krzywym Kołem” na czele? Popierając Październik i udzielając kredytu Gomułce nie traktowaliśmy tego jako wstąpienia do nowego BBWR, a jedynie przyłączenie się do walki prowadzonej w kraju o dalszą demokratyzację stosunków, nie tracąc ma się rozumieć z oczu wszystkich trudności, które istnieją. Mówiąc inaczej współpracujemy z pismami i czynnikami niezależnymi, a nie z czynnikami oficjalnymi. Chyba to też powinno być po linii „Merkuriusza”?



Jerzy Giedroyć, fot. Polskie Radio dla Zagtanicy.

W innym liście kilka dni później dodał:

> Popieramy przecież nie system, czy Gomułkę, ale popieramy wszystkie przejawy ewolucyjnego demokratyzowania czy normalizowania stosunków w kraju, gdyż innej drogi nie ma. To stanowisko wymaga również energicznego zwalczania wszystkich prób nawrotu do dawnych metod, czy też do utrzymania nienaruszonego prymatu partii. Sądzę, że nie warto zajmować się grupkami emigracyjnymi „współpracującymi z krajem”. Zawsze to ma wydźwięk

> jakichś rozgrywek personalnych. W związku z ostatnimi wydarzeniami w kraju, jak również atakami „Nowych Dróg” i „Trybuny Ludu” na naszą linię, przygotowuję rodzaj listu do czytelników krajowych, który zamierzam wysyłać niezależnie od „Kultury”. Tekst będę miał dociśnięty i wydrukowany do końca przyszłego tygodnia i przyśle Panu parę egzemplarzy. Bardzo jestem ciekaw jak Panu będzie się podobał. Będzie to z jednej strony praktyczne i realistyczne credo „Kultury”, a taktycznie próba zaopiekowania się „rewizjonistami” to jest narastającą opozycją lewicową. Do opozycji lewicowej przywiązuję specjalną wagę, gdyż jest ona dla ustroju komunistycznego o wiele groźniejsza od prawicy czy katolicyzmu: to trudniej skwitować określeniem faszyzm czy reakcja.

Czuły na problemy polskie niepokoił się m.in. sytuacją na Śląsku. Szczególnie poczynania partyjnego betonu osiadłego w Opolu napawały go troską. Kiedy doniosłem mu o powstaniu nowego uniwersytetu w tym mieście, ucieszył się.

> Sprawa powstania uniwersytetu dla Ślązaków z naciskiem na sprawy humanistyczne wydaje mi się sprawą niezmiernie ważną. Czy nie zechciałby Pan napisać na ten temat do „Kultury”?

Orientując się świetnie w różnych sytuacjach redaktor nie rozumiał, że uniwersytet na Śląsku wcale nie był dla Ślązaków i że w takim Opolu Ślązaka trzeba szukać, niestety, ze świecą.

Prawdą jest, że Giedroyć bardzo się starał znaleźć ludzi, którzy mogli o Śląsku pisać wiarygodnie. Ukazały się w jego piśmie wypowiedzi Stanisława Bieniasza, Ryszarda Surmacza, a wreszcie Krzysztofa Karwata. Ja również napisałem na jego prośbę duży reportaż z Opola będąc świadkiem ostrej agitacji establishmentu w obronie osobnej administracji. Szczególnie kapitalne wydały mi się zabiegi dzierżącego władzę betonu, który nagle, po latach poniewierania rodzimą ludnością, zaczął drapować się na przywiązanych do ziemi, jej przeszłości i obyczajów Ślązaków, dla zachowania kilku tysięcy wygodnych foteli. Artykuł mój wypadł zbyt enigmatycznie, był chaotyczny, za dużo w nim było ekstrawaganckich wypowiedzi lokalnych demagogów straszących bezrobociem i haraczem na rzecz oczyszczania terenów katowickiego zagłębia węglowego, obiecujących dobrobyt w niezależnym województwie, bojących się utracić stanowisk władzy odziedziczonych po ojcach, którzy przyjechali budować socjalizm wśród opornych Ślązaków. Interes państwa widzieli w zachowaniu za wszelką cenę własnych posad. Takie wygodne rodzime Naddniestrze.

Giedroyć zaproponował, bym artykuł przeredagował i ewentualnie przedstawił jako impresje z Opola. Dodał:

> Bardzo liczę, że Pan nie odmówi, bo temat jest, rzeczywiście, niezmiernie ważny.

Tymczasem biegł czas, reforma administracyjna w Polsce stała się faktem. Przypominanie kłamstw agitacyjnych nie miało wielkiego sensu. Władze się ostały. Opolanie na własnej skórze doświadczyli pogorszenia się ekonomicznej sytuacji województwa, jak to było do przewidzenia od początku.

Kiedy wykładałem we Wrocławiu, szykowała się akurat wyprawa autokarowa redakcji pisma z Kłodzka do Paryża. Dołączyli do niej chętni z innych miast. Chciałem także pojechać, bo oprócz zwiedzenia Paryża w programie była wizyta w Maisons Laffitte. Okazało się jednak, że do Giedroycia pójść miała tylko delegacja złożona z dwu, trzech osób. Redaktor nie chciał tłumów. W tej sytuacji nie wypadało zabierać miejsca ludziom, którzy Giedroycia nigdy nie widzieli, a w końcu ja byłem u niego parokrotnie i spotykałem go w Londynie, w czasie jego wizyt. Zrezygnowałem więc z wyjazdu, czego żałuję niezmiernie, gdyż była to, jak czas okazał, ostatnia szansa, by redaktora zobaczyć. On natomiast dowiedziawszy się o moich wahaniach zapewniał, że czas by znalazł na pogadanie o różnych rzeczach. Wierzę, gdyż nieraz doniósłszy mu o moich podróżach, czy zamiarach, natychmiast otrzymywałem wskazówki i adresy osób, które miałem odwiedzić i poznać.

I tak, bardzo cieszył się z mojej wizyty w Wilnie i zachęcał do wykładów na tamtejszym uniwersytecie, co udało mi się zrealizować w maju 1999. Polecał mi również Mińsk, ale najwięcej wskazówek otrzymałem na temat działaczy na Zaolziu, bo jeździłem do Ostrawy na wykłady literatury hiszpańskiej i odwiedziłem Cieszyn. Poszukałem dla Witolda Gombrowicza tłumaczy na hiszpański, próbowałem nagrać rozmowę z dyrektorem Ossolineum, ale po wielu próbach zrezygnowałem widząc jego niezdecydowanie. Przekazywałem polecenia Kisielewskiemu i Słonimskiemu w Polsce.

Kiedy w roku 1999 poinformowałem Giedroycia o zwolnieniu Jarosława Abramowa z funkcji redaktora „Związkowca" w Toronto, odpowiedział pesymistycznie:

> Historia ze „Związkowcem" jest dosyć okropna. W ogóle Polonia Kanadyjska coraz bardziej się rozkłada. Bardzo to smutny objaw. Z Polonią Amerykańską, mimo wysiłków Nowaka, nie jest lepiej.

Ostatnie listy najczęściej mówiły o chorobie i śmierci w Toronto redaktora Benedykta Heydenkorna. Giedroyć ustawicznie się o niego troszczył, a po jego śmierci napisał o nim piękne wspomnienie. Natomiast, kiedy po czasie wdowa chciała przekazać na Fundusz Kultury pewną kwotę pieniędzy, Giedroyć

stanowczo odmówił przyjęcia.

Jeszcze 20 lipca 2000 roku na moje doniesienie, że ugryzł mnie pies i że nic w tej sprawie nie uczyniłem, otrzymałem odpowiedź Giedroycia:

> Widzę, że mamy wspólne przeżycia z psami. To, że nie poszedł Pan na policję, to w porządku, ale lekarza lepiej było odwiedzić, bo mógłby mieć Pan komplikacje takie jak u Zosi (Hertz – FS). Miejmy nadzieję, że pomału wrócimy do normy po wszystkich trzęsieniach ziemi, które przeżywaliśmy, z huraganem włącznie, który uszkodził dach i nasze drzewa.

Niestety, ostatnie słowo w naszej korespondencji miała poczta elektroniczna, szybka, wygodna, ale zdawkowa, efemerydalna i nietrwała. Giedroyć obiecał mi jeszcze wydrukować w numerze wrześniowym „Kultury” rozmowę, którą przeprowadziłem z Bolesławem Taborskim po sesji w Toruniu poświęconej Jerzemu Pietrkiewiczowi. Nikt nie przewidział, że będzie to już jego ostatni numer.

Pura vida

Florian Śmieja



Florian Śmieja i spotkanie z leniwcem.

Kostaryka zwiodła pierwszych Hiszpanów przekonanych, że dotarli do bogatej ziemi więc przezwali ją dostatnim wybrzeżem. Miało się wnet okazać, że złota było niewiele, a Indianie uszli w niedostępne góry i dżunglę. Marzący o intratnych plantacjach i

taniej sile roboczej kolonizatorzy byli zmuszeni zabrać się do uprawy sami. Ich wysiłki po wiekach przemieniły lasy i doliny w urodzajne pola i sady rodzące tropikalne owoce, warzywa i tytoń. Przekonali się po czasie, że udaje się też znakomicie kawa i trzcina cukrowa, że opłaca się również uprawa kwiatów.

Na początku dziewiętnastego wieku Kostaryka przestała być posiadłością hiszpańską. Stosunkowo szybko otrząsnęła się z postkolonialnego chaosu, konfliktów polityczno-społecznych, wstrząsów ekonomicznych. Zmodernizowała się, wykształciła i doczekała względnego dobrobytu. W roku 1948 komunistyczna rewolta usiłowała nie dopuścić do objęcia urzędu przez demokratycznie wybranego kandydata na prezydenta,

Została ona zgnieciona przy pomocy armii. Wnet potem jednak bezpieczeństwo kraju zdecydowano się powierzyć policji, a armię zlikwidowano zupełnie. Odtąd nastały czasy i sytuacja, której zazdroszczą sąsiedzi. Z kolei rząd wcielił w życie reformy społeczne i uporał się z ekonomiczną potęgą *United Fruit Company*. Konflikty trapiące kraje sąsiednie nie pozostały jednak bez wpływu i spowodowały poważny napływ uchodźców do republiki nieomal modelowej na trudnym przesmyku łączącym Meksyk z Kolumbią.

Różnorodność krajobrazu, sześćdziesiąt wulkanów wznoszących się nieomal do czterech tysięcy metrów, dwa oceany i piękne

dżungle ściągają dziś rzesze turystów z wszystkich krajów, żądnych użycia latynoskiego „samego życia”, *pura vida,* wśród przebogatej tropikalnej flory w komforcie i osobistym bezpieczeństwie. Piętnaście procent powierzchni kraju, relikty odwiecznych dżungli i lasów deszczowych, to dziś urocze parki narodowe. Wabią one ludzi z najdalszych zakątków ziemi chcących doświadczyć spotkania z fantazyjną, bujną roślinnością i egzotyczną fauną.

Niektóre tereny, jako malaryczne, wymagają pewnej ostrożności i prewencji. Moskitiery nad łóżkiem i chinina zabezpieczają wybierających się na te ziemie, których atrakcyjność jest silniejsza od lęków o zdrowie, zazwyczaj wyolbrzymianych. Należy jednak zważać, by jechać w takie zakątki w stosownej porze, t.j. na przełomie pory suchej i deszczowej. Wtedy można się spodziewać, że długi okres posuchy wytępił, a przynajmniej zredukował ilość owadów, a także gadów. Można wtedy suchą nogą przebyć dżungle, a i temperatury są znośne.



Kostaryka, fot. pinterest.

Takie warunki znaleźliśmy w marcu, kiedy wylądowaliśmy w San José przy dobrej pogodzie i łagodnej temperaturze. Sprzyjała ona naszej intencji, by po kraju jeździć lokalnymi autobusami. Chciałbym dodać, że okazały się one znakomite, punktualne i niedrogie.

Pragnąc spędzić tydzień w pasie przygranicznym z Panamą, bo nęciły wyspy panamskie, przy których zatrzymał się Krzysztof Kolumb w 1502 roku, by naprawić swą karawelę, zaczęliśmy dwa tygodnie przed wyprawą brać chininę. Miejscowość Puertoviejo nad morzem Karaibskim okazała się punktem bardzo dogodnym do wycieczek na te wyspy, a także do pobliskich dżungli Cauhita i Manzanillo. Tej ostatniej szczególnie nie zapomnimy.

Z idealnej plaży ścieżki prowadziły do gęstej dżungli, która porastała nadbrzeżne pagórki. Kiedy szliśmy ścieżką nad głową na żer przechodziły stada małp, koło nóg szeleściły uchodzące czerwononogie kraby. Chyłkiem przemykały się *aguti*, gryzonie kilka razy większe od szczura, na pniach nieruchomiały stoickie iguany.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, zobaczyliśmy dziwnego gramolącego się na niewielki krzew nad ścieżką ssaka. Dziwo to o mordce jakby uśmiechniętej i wścibskich oczkach, poruszało długimi łapami zakończonymi trzema zagiętymi pazurami, niby prototyp Edwarda Scissorhandsa.

Był to leniwiec, zwierzę nie tylko arcy rzadkie, ale osobliwe. Encyklopedia spowinowaca je z pancernikiem i mrówkojadem i nazywa *bradypus*, mówi że to zwierzę nocne i samotnikujące, że żywi się liśćmi i rosą. A ja sądzę inaczej: to najwyraźniej byt z innego świata, przedpotopowy rozbitek, świadek odmiennego porządku, kontestator ruchu i nadmiernej mobilności, czysty symbol rozsądnego bytowania. Wyglądał mi na dostojne stworzenie, które nie zdążyło (nie spieszyło się niepotrzebnie), do arki. Uratowało się cudem na niebotycznej sekwoi, aby wespół z iguaną świadczyć o minionych czasach, kiedy rządziły inne prawa i obowiązywały odmienne hierarchie.

Po spotkaniu z leniwcem (bardzo niepolitycznie nazwanym w

różnych językach) trzeba zrewidować swoje życie i koniecznie spowolnić jego tryb. Co robię kończąc w mig niniejszą relację. Bo czeka nęcąca *pura vida.*